



OPOWIEŚCI

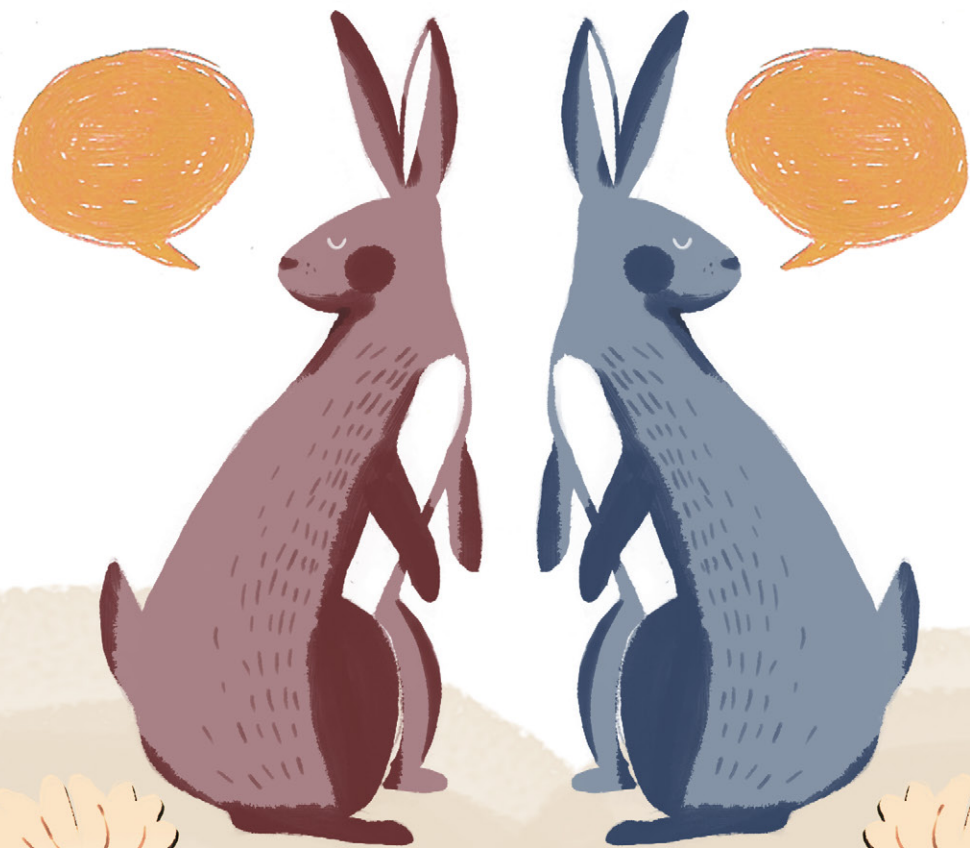
o pozytywnym

MYŚLENIU



OPOWIEŚCI *o pozytywnym* MYŚLENIU

Efektywna komunikacja



Na pewnej leśnej polanie – która była bliżej niż można było przypuszczać – spotykały się zwierzątka. Lubiły tam przychodzić, sfruwać a nawet przypełzać, aby porozmawiać, wymienić się informacjami, na przykład w której części lasu ludzie jeżdżą popołudniami na motorach. Lubiły też po prostu poplotkować. To była trochę magiczna polana. Gdy tylko ktoś się zjawiał na niej, to od razu wszystkich, którzy tam byli słyszał i rozumiał. Zając wilka, wilk srokę, sroka chrabąszcza. Ważna rzecz: nikt nikogo nie zjadał, nawet nie podgryzał, nawet ślinki nie przełykał na widok kolegi. Zwierzęta jeszcze miały jeden zwyczaj: te które są atakowane schodziły pierwsze z polanki, aby mieć czas na schowanie się. To trochę tak jak zabawa w chowanego, trzeba dać fory uciekającym, chowającym się.

Harmider był tu straszny. Wszyscy do wszystkich mówili. Oповідали o swoich przygodach tych dawnych, tych niedawnych i tych trochę, a nawet zupełnie zmyślonych. Zwierzęta czuły się bezpiecznie, bo ich głosy nie wydostawały się poza polanę. Ludzie w ogóle nie zapuszczali się tak głęboko w las, ale nawet ci, którzy to robili, to nie widzieli polany. Dla nich to była ściana krzaków z kolcami, a latem do tego z niesamowicie długimi pokrzywami. Po co iść gdzieś, gdzie nie ma niczego, a po drodze kolce i pokrzywy atakują. Taka to była magiczna i schowana polana.

Jak dostawały się na nią zwierzęta, gdy była taka schowana i pełna kolców oraz pokrzyw? Dobre pytanie. Zwierzęta wiedziały, że są dwie drogi na polanę. Jedna od południa – trzeba iść

w stronę kłujących krzaków, mając za plecami podwójną sosnę. Trzeba iść śmiało, nie lękać się pokłucia i jak już prawie wchodzi się w pokrzywy, trzeba przystanąć, spojrzeć w lewo i zobaczyć się ścieżkę. Gdy już się zobaczy ścieżkę, to ona doprowadzi do polany. Ta ścieżka to tak trochę jak w ludzkim przedszkolu pani przedszkolanka, która w razie potrzeby powie, jak mamy dostać się w nieznane nam miejsce.

Druga droga była od północy. Była bardzo podobna do tej od południa, ale zwierzęta – nie wiedzieć czemu – nie korzystały z niej. No i właśnie tę postanowił wykorzystać Marcel. Marcel był zajęcem. Zajęcem marczakiem, czyli urodzonym w marcu, czyli takim, który rwał się na ten świat jako jeden z pierwszych, gdy jeszcze nie do końca było ciepło. Koledzy nazywali go Marcu. Marcel z bezpiecznej odległości obserwował i liczył wchodzące zwierzęta. Trzymał w pyszczku długą trawę i przekładał ją z prawej na lewą stronę i z powrotem. Zastanawiał się, po co te wszystkie różne zwierzęta wchodzi na polanę. Czy rzeczywiście wszystkie tak chcą rozmawiać? Po co rozmawiać z chrabąszczem, gdy on nie potrafi skakać, czy z żabą, która potrafi skakać, ale nie je sałaty jak zajęć.



Marcel już kilka razy był na polanie i jakoś go nie porwało to wspólne rozmawianie. Właściwie o czym? Nie pamiętał. Czy gdy wejdę z drugiej strony, też będzie tak beznadziejnie? pomyślał. Przerzucił trawę w pyszczku pięć razy w jedną i drugą stronę. Obkicał całą polankę aż do wejścia północnego. Wejście północne nie różniło się niczym od wejścia południowego, oprócz tego, że było od północy. W każdym razie tak Marcel myślał, gdy szedł niespiesznie w stronę polany. Wszedł na polanę. Wszystkie zwierzęta rozmawiały, przekrzykiwały się radośnie, starając się przekazać jak najwięcej informacji wszystkim napotkanym współbraciom.

Marcel szedł powoli środkiem, mijał różne zwierzęta, uważał przy tym, żeby nie nastąpić na żadne z mniejszych.

- Moja smaczna, to znaczy chciałam powiedzieć moja droga...
- spieszyła się lisica, mówiąc do kuropatwy.
- A ja go wtedy ciach, mach i połknąłem – dumnie zaskrzeczał pan bażant.

Marcel szedł dalej i słuchał.

- Ci ludzie jeżdżą na tych piekielnych maszynach, to się dymi, to orze ziemię, gorzej niż rolnik traktorem po polu, a swoją drogą tęsknię za końmi... – piszczał mieniący się w słońcu żuk.
- Widziałam tę rudą małą jak podrywała mojego Stefanka, jak ją spotkam to pogonię – prychała wiewiórka.

Marcel doszedł do środka polany, coś pisnęło mu pod stopą, miał nadzieję, że to śliska trawka, a nie jak ostatnio mały ślimak, podskoczył i ruszył dalej. Przeszedł całą polanę w szerz i wzdłuż... Trzy razy tak szedł, aby się upewnić.

W końcu stanął z boku, oparł się o jedno z drzew i dalej słuchał.

– Na tak, oni wszyscy mówią, ale żadne nie słucha! Mówią, mówią o swoich sprawach, tylko on, oni...

– Cześć Marcel, co cię tak zdenerwowało? – zapytała młoda borsuczycyca, podchodząc do zająca.

– Cześć Bianka! Pierwsza pytająca, reszta tylko mówi, posłuchaj – przywitał się Marcel.

– Nie muszę, wiem! Już dawno to zauważył mój tata i kiedyś mi o tym powiedział. Tutaj nikt nie pyta, a w każdym razie nikt nie słucha, a nawet jeżeli padnie pytanie, to nikt nie odpowiada. Taka polana.

– No wyobraź sobie! – Marcel wyglądał na zbulwersowanego.

– Po co te wszystkie zwierzaki tutaj przychodzą? A właśnie po co przyszłaś na polankę, Bianka, hee?



– He? Kto tak mówi i co to oznacza? – zdziwiła się Bianka.

– Nie wiem, ale jakoś tak dobrze zabrzmiało, tak mi się wydawało, no może nie najlepszy dźwięk... ale co tutaj robisz?

– Ojciec mnie wysłał, żebym spotkała któregoś z dzików, mam dla nich wiadomość od tatusia.

– Możesz powiedzieć jaką?

– Nie mogę dosłownie, ale chodzi o to, że dziki nam ryją w okolicy.

– Dziki są od rycia.

– Ale tatuś uważa, że nie w jego okolicy. No i mam je poprosić, żeby tego nie robiły.

– A dlaczego twój tatuś sam nie przyszedł im tego powiedzieć?

– Bo dziki mogą przyjść w tym czasie do nas i wtedy im powie na miejscu.

– To jakieś skomplikowane – zmartwił się Marcel.

– Co jest skomplikowane?

– Te próby rozmów.

– Masz rację, to nie jest proste – przyznała Bianka. – Biegnę, widzę w tamtej części dzika – powiedziała i pomknęła w stronę grupki młodych rozbrykanych, zwierząt, wśród których dokazywał dzik – ledwo co wyglądający na dużego.

– To sobie pogadaliśmy – powiedział sam do siebie zając Marcel. – Po co te zwierzęta przychodzą tutaj? Jakby chciały się czegoś dowiedzieć, to by słuchały. To jest tak denerwujące, gdy jesteś jednym z nielicznych, który wie. Mogę sobie to teraz głośno mówić i tak mnie nikt nie słucha.

– Cześć Marcel! – powiedziała mała zajączka, która wyrosła jak spod ziemi, co spowodowało, że zając Marcel podskoczył

wysoko, bardzo wysoko. Gdy już wylądował odchrząknął lekko zmieszany i patrzył na swoją koleżankę przez dłuższą chwilę, jeszcze milcząc. – Marcel? – nieśmiało zaczęła go zajączka.

– A! Cześć Natka – uśmiechnął się lekko do młodej zajęczycy. Znali się prawie od urodzenia, ale ostatnio Natka dziwnie się zachowywała. Gdy tylko widziała Marcela mówiła wolniej, jakby się przeciągała w tym mówieniu, za to Marcel był jakby dwa razy szybszy niż normalnie. Marcel zauważał to i miał nadzieję, że im to przejdzie, bo lubił ją taką jaka była wcześniej.

– Co tutaj robisz... Marcel? – zapytała

– Odkrywam.

– Co odkrywasz... Marcel?

– Że się nie słuchamy. Odkryłem, że się nie słuchamy, nawet na polanie.

– No co ty... Marcel... ja ciebie nie słucham?

– To co powiedziałem? – próbował przetestować Natkę.

– Że się nie słuchamy, ale to nie prawda, ja ciebie słucham, a ty mnie słuchasz... Marcel?

– Natka! Błagam, nie mów do mnie Maaaarceeeel.

– No to jak mam do ciebie mówić... Marcel? Przepraszam, Marcel, To znaczy... no właśnie jak mam do ciebie mówić, zającu. – Natka trochę się zdenerwowała.

– Natka, proszę mów do mnie Marcel, no bo jak inaczej, tylko tak normalnie, krótko: Marcel a nie Maaaaaaaarcel.

– Dobrze, M-cel – zaśmiała się Natka, rozbawiło to również Marcela i śmiali się przez chwilę razem. – No dobra, to co ty znowu odkryłeś... że się nie słuchamy?



– No my się słuchamy, to znaczy mówimy i słuchamy, ale już z resztą nie jest to taka oczywista sprawa. Zresztą choć i posłuchaj – powiedział i pokicał, oglądając się za nią i zaraz razem przeszli się przez polanę, udając, że są pogrążeni w rozmowie.

Gdy wrócili na swoje miejsce Natka była poruszona.

– Masz rację, wszyscy paplą...

– Co robią?

– Mówią szybko i bez zastanowienia, mówią, a nie słuchają – wytłumaczyła.

– Według mnie ktoś rzucił czar na nasz las – stwierdził Marcel.

– No co ty opowiadasz, chłopaku! Mamy XXI wiek, czarów nie ma, no może są, ale nie ma tych miotaczy... no tych od czarów...

– Czarodziejów?

– No właśnie! Nie ma ich, więc kto miałby rzucić czar? Ha? – Natka poruszyła uszami.

– Może jakiś zbłąkany czar trafił, taki z poprzedniego wieku, gdzieś się uchował i go wiatr...

– Marcel próbował wytłumaczyć, sam nie wierząc, w to co mówi.

– Zostawmy czary, co chcesz zrobić z tym niesłuchaniem? Jak zmusisz zwierzęta do słuchania?

– Mam pomysł, ale to będzie długa praca.

– Dobra, wchodzę w to – zgodziła się Natka, zanim zdążył o to ją poprosić Marcel. Za to ją lubił. Natka zupełnie jakby go słyszała nim on zdążył wypowiedzieć zdanie.

Trwało to dobry miesiąc. Natka i Marcel zaraz po śniadaniu,

które zajęte jedzą skoro świt, pojawiali się na polanie. Gdy Natka wchodziła od strony południowej, Marcel pojawiał się od północy. Spacerowali sobie, czekając, gdy ktoś się pojawiał i zaczynała opowiadać, oni go słuchali i w pewnym momencie zaczęli pytać. Prosilili o rozwinięcie tematu lub dopytywali o bohatera opowieści. Po jakimś tygodniu dołączyła do nich Bianka, a potem kilka innych zwierzątek.

Niektóre zwierzęta oburzały się, mówiły, że to niegrzeczne zachowanie, tak przeszkadzać, do tego starszym, wychodziły obrażone z polany, inne wręcz przeciwnie nie dość że rozwijały interesujący je temat, to zaczęły interesować się tym, co ma do powiedzenia Natka, Marcel lub ktoś inny z grupy „młodych przeszkadzających”.

Grupa skupiona wokół Marcela i Natki nazwała się „Tajna Organizacja Młodych Zwierząt, Które Słuchają”, co w skrócie brzmiało dość pokracznie: **TOMZKS**, zupełnie nie do wymówienia, nawet na magicznej polanie, stąd mówili o sobie słuchacze. Słuchacze mocno działali przez ponad miesiąc, prawie dwa. Któregoś dnia pojawili się – jak zwykle – na polanie i okazało się, że nikogo – oprócz nich nie ma. Polana opustoszała. Żadne ze zwierząt już nie przychodziło na nią. W końcu Słuchacze też przestali się tutaj pojawiać. Polana pomyślała, że już nie jest potrzebna i postanowiła zarosnąć.

Jeszcze długo opowiadano w lesie, że przez miesiąc po zniknięciu polany było słychać jakieś odgłosy, które przypominały stłumiony krzyk ślimaka. Brzmiało to mniej więcej tak:

Halo! Czy ktoś mnie słyszy!? Gdyby nie ten dom, to bym dawno był już nad rzeką! Halo! Zygmunt, Barbara? Jesteście tu? No nikt nie słyszy!!!

Ale to chyba tylko taka leśna bajka...



Pytania i zadania:

1. Jak myślicie, czy zwierzęta zachowały zdolność porozumiewania się mimo tego, że nie pojawiały się na polanie?
2. Czy pamiętasz dlaczego główny bohater – zając miał na imię Marcel?
3. Jak miała na imię koleżanka Marcela?
4. Jak myślisz, co by się stało gdyby zwierzęta nie opuściły polany?
5. Co by się stało z nimi, z polaną a co z grupą Słuchaczy?
6. Jakbyś inaczej nazwał tajne stowarzyszenie działające na rzecz słuchania i mówienia?
7. Dobierzcie się w pary. Opowiedz krótko koledze/koleżance, co jadłeś wczoraj na kolację. Później wysłuchaj, co jadł twój kolega lub koleżanka. Następnie niech on/ona powie, co ty jadłeś, a potem ty powiedz, co on/ona jadł/jadła. Sprawdźcie, czy dobrze wszystko zapamiętaliście.

O smutnej królewnie



Pierwszego września nad miasteczkiem wzeszło ciepłe, letnie jeszcze słońce. Miasteczko w jego promieniach było całkiem ładne. Ładny był park ze starymi drzewami, zieloną trawą i stawem, po którym pływały kaczki, ładny był zabytkowy kościół na wzgórzu i ładny był ratusz w rynku. Tego lata kamienice wokół ratusza pomalowano na świeże, wesołe kolory – żółte, jasnoróżowe i seledynowe. Dzięki temu cały rynek kojarzył się teraz z lodami z kawiarni na dole żółtej kamienicy. Serwowano tam bajecznie pyszne żółte kulki – to były lody waniliowe, różowe – truskawkowe i zielonkawe – pistacjowe. Teraz, gdy tylko zjrzało się na rynek, zaraz nabierało się ochoty na lody. A wszystko przez te kolorowe kamienice!

Gdyby ktoś pierwszego września spojrzął na miasteczko z góry, zobaczyłby, jak ze wszystkich stron, wąskimi osiedlowymi alejkami i szeroką główną ulicą, wysadzaną rzędem kasztanowców, idą dorośli z dziećmi. Dzieci są ubrane na biało-granatowo, dorośli też postarali się o odświeżony wygląd. Mamy mają staranne fryzury i stukoczą o chodnik obcasami, tatusiowie ubrali się w koszule, marynarki i te mniej wygodne buty.

Wszystko po to, by uczyć rozpoczęcie roku.

Bartek idzie do szkoły z Olafem. Znają się z przedszkola, gdzie od maluchów byli najlepszymi kumplami.

Helenka idzie z mamą i starszą siostrą Hanią. Hania chodzi już do trzeciej klasy. Helenka często bywała u niej na różnych występach i nie mogła się doczekać, kiedy ta szkoła stanie się także jej szkołą. Bardzo fajne będzie spotkanie siostry na przerwach i takie dorosłe, szkolne życie. Koleżanki Hani też są fajne.

Iza jest podekscytowana. Uwielbia, gdy coś się dzieje, lubi poznawać nowe dzieci i opowiadać im ciekawe historie – a teraz, tuż po wakacjach, ma głowę pełną wspaniałych historii! Żeby tylko pani zadała do narysowania pracę o wakacjach! Iza narysowałaby nie jeden, a z pięć rysunków! A może komiks? Tyle się przecież działo!

Alinka z całych sił ściska rękę mamy. Szkoła jest wielka i szara, rzuca cień na cały szmat szkolnego podwórka. Nic dobrego nie może się kryć w takim wielkim szarym gmaszysku.

– Witam was, drogie dzieci! – mówi pani dyrektor, a mikrofon nieprzyjemnie zniekształca jej głos.

– Szczególnie serdecznie witam wszystkich pierwszoklasistów! Jestem pewna, że... – Głośnik trochę piszczy, a trochę szumi. Niczego już nie da się zrozumieć.

Po uroczystym powitaniu dzieci idą z wychowawczyniami do swoich klas.

Mamy Olafa i Bartka muszą ich uciszać. Chłopców roznosi energia, ciągle coś szepczą albo dają sobie kusańce.

Helenka podskakuje, ciekawa, gdzie będzie ich klasa.

Iza wypatrzyła, że jedna z dziewczynek ma taką samą bluzkę jak ona.

– Patrz! – Pokazuje jej swoje odkrycie. Obie się śmieją. – O, i gumkę na włosach masz taką samą jak ja! Ciekawe, czy coś jeszcze?

Chwilę uważnie się sobie przyglądają.

– Z wyglądu to już chyba nic – orzeka w końcu Iza. – A jaki jest twój ulubiony kolor?

– Niebieski – mówi bez wahania dziewczynka.

– A mój fioletowy – oznajmia Iza.

– To dobrze, że nie taki sam. Nie będziemy sobie wyrywać kredek – stwierdza z zadowoleniem.

– Jestem Iza.

Po wejściu do klasy siadają w jednej ławce.

Wychowawczyni jest wysoka i szczupła, ma długie czarne włosy. W niczym nie przypomina grubiotkiej pani Uli z przedszkola Alinki. Pani Ula miała krótkie blond włosy i nie-



bieskie oczy. Ciągłe się uśmiechała i zawsze można było się do niej przytulić.

Pani mówi o podręcznikach, przyborach i zajęciach dodatkowych, płatnościach za obiady, ubezpieczeniu i upoważnieniach. Wszystko to brzmi niezrozumiale, chyba jest bardziej skierowane do rodziców niż do dzieci. Alinka patrzy w okno, za którym jest szkolne boisko. Wolałaby teraz być tam niż w klasie. Nazajutrz rano znów wszystkie alejki wokół szkoły zapełniają się uczniami. Starsze dzieci idą same albo dwójkami, trójkami; młodsze odprowadzają rodzice, babcie albo dziadkowie. Alinka podjeżdża pod szkołę samochodem. Nie jest z tego osiedla. Mieszka w domku po drugiej stronie miasta. Mama zapisała ją do tej szkoły, bo jest bliżej jej pracy i tak jest jej łatwiej organiza-cyj-nie. Trudno jest powiedzieć takie długie słowo, niczego w nim nie mieszając.

Mama ma kłopot ze znalezieniem miejsca do parkowania. Musi czekać, aż ktoś odjedzie. Trwa to tak długo, że dzwonek na lekcje zdążył już zadzwonić. Biegną teraz obie do szatni. Mama poma-



ga jej zmienić buty, by było szybciej, a potem odprowadza ją do klasy. Otwiera drzwi i delikatnie popycha Alinkę do przodu.

– Dzień dobry i przepraszam za spóźnienie! – mówi do pani. – No, leć – mówi do Alinki i zamyka za nią drzwi.

Alinka wchodzi i staje. Nie wie, gdzie ma usiąść. Wszyscy na nią patrzą i to jest straszne. Alinka boi się patrzeć na dzieci, skupia się więc na pustych ławkach. Nie chce siedzieć w ostatniej, więc wybiera przedostatnią w rzędzie pod oknem.

Żeby do niej przejść, musi minąć dwa rzędy, pełne wlepionych w nią oczu. Każdy z kimś siedzi, nie ma nikogo, kto by siedział sam. W klasie jest dwudziestu jeden uczniów. To Alinka jest tą dwudziestą pierwszą.

Przez całą lekcję pani coś mówi, pokazuje kolorowe plansze. Zadaje pytania, dzieci chórem wrywają się do odpowiedzi.

– Zgłaszamy się przez podniesienie ręki i mówimy pojedynczo! – strofuje pani.

Nagle szkołą wstrząsa nieprzyjemny terkot.

– Koniec lekcji – mówi pani. – Teraz otworzymy okna i wyjdziemy na przerwę na korytarz.

Na korytarzu jest okropnie. Ze wszystkich klas wylewają się fale uczniów, którzy natychmiast zaczynają biegać i krzyczeć. Powstaje szum jak w ulu. Alinka nie wie dokładnie, jaki szum jest w ulu, ale pamięta, że takiego określenia użyła babcia, gdy były razem w muzeum i do sali z eksponatami nagle weszła wycieczka szkolna.

Alinka zastanawia się, co robić. Przygląda się, co robią inni.

Chłopcy się ganiają. Pani, która pełni dyżur na korytarzu, zwraca im uwagę, by tego nie robili. Udają, że nie słyszą, więc pani krzyczy. Wtedy na chwilę przestają biegać, ale gdy tylko znajdą się za plecami pani – biegną znowu.

Dziewczynki stają w grupkach i coś sobie opowiadają. W grupce z ich klasy jedna częstuje czymś resztę. Wszystkie chętnie biorą. A potem wszystkie naraz gadają. Gdyby tu była ich pani, kazałaby im zgłaszać się przez podnoszenie ręki i mówić pojedynczo.



Wtem tuż przed Alinką przelatuje migiem jakiś chłopiec. Depcze ją po stopie i nawet tego nie zauważa – zupełnie jakby była niewidzialna.

To nie do wytrzymania. Alinka opiera się o ścianę i zatyka uszy. Po kilku minutach znów rozlega się terkot dzwonka. Szum po-

woli ustaje. Dzieci wracają do klas.

Nie jest zupełnie źle tak siedzieć sobie samej w ławce. Ma się cały stolik tylko dla siebie – to się przydaje, kiedy maluje się farbami albo otwiera i duży podręcznik, i zeszyt. Łatwiej też być grzecznym, bo z nikim się nie rozmawia. Chociaż z drugiej strony... fajnie byłoby siedzieć z jakąś miłą dziewczynką, a nawet czasem trochę sobie z nią szeptać. Niestety nic nie wskazywało na to, żeby w klasie były jakieś miłe dziewczynki. A nawet jeśli były – to miały już swoje pary.

– Jak ci się podoba w szkole? – pyta wieczorem mama.

– Wcale mi się nie podoba – odpowiada Alinka.

– Nie nastawiaj się tak negatywnie – radzi mama. – Za kilka dni będzie lepiej. Poznasz dzieci, zaciekawisz się lekcjami. To tylko kwestia czasu.

Może właśnie to mówiła pani dyrektor, kiedy jej nie było sły-
chać?

– To chociaż mnie zwolnij ze świetlicy. – Na samo wspomnienie dusznej sali, pełnej dzieci i nieciekawych gier w starych, zużytych pudełkach Alinka aż się wzdryga.

– Tak jest okropnie. Jak w ulu. Albo w mrowisku.

Mama wzdycha.

– Musisz zostawać na świetlicy, bo pracuję do szesnastej. Gdyby babcia mieszkała w naszym miasteczku, mogłaby cię odbierać... Niestety to niemożliwe.

Alinka wystukuje czubkiem stopy: „nie-moż-li-we, nie-moż-li-we”. Wkurzające słowo. Jak szlaban kolejowy, który zamyka się tuż przed nosem, jakby złośliwie: „A figę! Nie przejdiesz!”.

- Dlaczego nie mogę wracać sama do domu?
 - Przecież wiesz... – mówi mama z wyrzutem, że Alinka nie rozumie takich prostych rzeczy.
 - Mieszkamy daleko od szkoły. Takie małe dzieci nie chodzą same do domu.
 - Wychodzę sama na spacer z Filutkiem – upiera się Alinka.
 - Tak, ale tylko po naszej ulicy, którą dobrze znasz. Ulica jest krótka, spokojna, ma chodnik i progi zwalniające... Zresztą gdybyś wracała sama, musiałabyś siedzieć parę godzin sama w domu. Nie, to nie wchodzi w grę.
 - W przedszkolu nie było świetlicy. Dlaczego teraz musi być?
 - Tak właśnie jest w szkole – mówi mama. Lecz to niczego nie wyjaśnia.
- We wtorek jest lekcja o bajkach. Pani przydziela role do scenek dramowych. Wybrane dzieci je odgrywają, a pozostałe zgadują, o jaką bajkę chodzi.
- Teraz zapraszam Bartka, Olę... – Pani chwilę wodzi wzrokiem po klasie – i Alinkę.
 - Nie, ja nie! – przeraziła się Alinka.
 - Dlaczego nie?
- Alinka zastanawia się, jak to pani wyjaśnić. Myśli i myśli – a pytanie postawione przez panią wisi w powietrzu jak chmura. Dzieci zaciękawione odwracają się w jej stronę i czekają, co powie.
- Nie lubię się w to bawić – ryzykuje w końcu taką odpowiedź.
 - A bawiłaś się kiedyś w scenki dramowe? – docieka pani. Jej pytanie znowu zawisa nad głową Alinki i nie chce zniknąć.
 - Chyba nie – odpowiada cicho.

- To może jednak warto spróbować?
- Alinka wstaje z ociąganiem zza ławki. Nogi krzeselka nieprzyjemnie zgrzytają po podłodze.
- Pani po cichu mówi im, jaką bajkę mają odegrać.
- „Śpiąca Królewna”. Który fragment chcielibyście pokazać?
 - To chyba najlepiej ten, jak królewna kłuje się wrzecionem! – mówi Ola.
 - Świetna myśl! – chwali pani. – Ola będzie przędła nić, Alinka się ukłuje i zapadnie w sen. A po pewnym czasie księżę Bartek znajdzie ją i obudzi.
 - Proszę pani! – pyta szybko Bartek – A czy Olaf może być moim koniem? To by mi znacznie ułatwiło...
- Pani się uśmiecha. Chyba lubi tych dwóch przyjaciół.
- Może – mówi, a Bartek szybko woła kumpla i po cichu wyjaśnia mu, co mają odegrać.
- Alinka ma sucho w ustach. Dobrze, że w scenkach nic nie trzeba mówić. Gorzej, że ruchy też ma jakby spowolnione, sparaliżowane.
- O**la stawia sobie przed tablicą krzeselko, siada na nim i zaczyna tupać jedną nogą, a rękami prząść wymyśloną nić. Bartek z boku najpierw udaje, że karmi konia – Olafa, potem że go dosiada. Olaf parska i wierzga. Dzieciaki się śmieją, lubią ich wygłupy.
- Alinka jest już kompletnie zeszywniała. Nie wie, jak ma pokazać to kłucie się i zapadanie w sen. Ma krzyknąć? Położyć się na podłodze? Nie ma ochoty ani krzyżeć, ani się kłaść. Stoi więc niezdecydowana sekundę, pięć, dziesięć sekund... Naraz czuje, że jej oczy napętniają się łzami. Zaraz wszyscy zobaczą...

– Alinko, co z tobą? – Pani podchodzi do niej z zatroskaną miną.

– Miałaś być Śpiącą Królewną, nie płaczącą...

Mijają tygodnie, lecz wbrew temu, co mówiła mama, a może też pani dyrektor, nic a nic nie jest lepiej. Jest wręcz gorzej, bo klasa wlepiła Alince przezwisko: Królewna. Alince cierpnie skóra od tej Królewny. Od początku wszystko układało się nie tak, ale teraz, z tym wstrętnym przezwiskiem jest jej jeszcze ciężiej.

– Mamó, chyba jestem chora. Źle się dziś czuję – mówi rano. – Może zostałam dzisiaj w domu?

Mama kładzie jej dłoń na czole.

– Co konkretnie cię boli? – pyta.

Alinka nie lubi kłamać.

– Źle się czuję – powtarza. To akurat jest prawda.

– Jeśli będziesz się nadal źle czuła po szkole, to pójdziemy do lekarza – mówi mama.

Nic nie da się zrobić.

Przewodnicząca Ola bardzo lubi swoją funkcję. Lubi też chyba rządzić – choć trzeba przyznać, że nieźle jej to wychodzi. Oli najbardziej podoba się organizowanie czegoś i chętnie pomaga pani we wszelkich akcjach. Teraz klasa szykuje się do klasowej wigilii.

– Musimy się podzielić obowiązkami – mówi Ola. – Kto co przyniesie, kto co zrobi?

– Ja zrobię z mamą i z siostrą pierniczki! – zgłasza się Helenka.

– Ja przyniosę mandarynki i ozdoby na choinkę – deklaruje Iza.

– To może ja śledzika? – mówi Olaf, a wszyscy nie wiadomo

dlaczego się śmieją. – No co?... – pyta Olaf, trochę urażony.

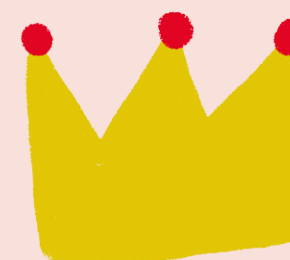
– Mój tata robi z cebulką, podobno bardzo dobrego.

– „Podobno”? – dopytuje Ola.

– No podobno, bo ja nie jem. Nie lubię – wyznaje Olaf, znów wzbudzając wesołość.

Alinka zastanawia się, do czego mogłaby się zgłosić. Może przyniosłaby płytę z kolędami? Mają przecież tyle ładnych... Albo ten haftowany obrus? Albo lampki na choinkę? Tylko czy mama się zgodzi, żeby je wzięła?

Dzieci zgłaszają się szybko i lista Oli zaraz się zapełnia. Ola jest bardzo zaradna: czego nie umie zapisać, to rysuje. Ale prawie wszystko już umie.



Na koniec Ola z zadowoleniem ogląda swoją listę. Prawie przy każdym nazwisku jest coś napisane. Pusto jest tylko przy tych, których dzisiaj nie ma – oraz przy nazwisku Alinki.

– Królewna oczywiście się nie angażuje – mówi z przekąsem Ola, a Alinka czuje, jak ją pieką policzki – najpierw ze wstydu, potem ze złości.

Głupie dzieci, głupia szkoła, głupia wigilia!!! Prawdziwa wigilia jest u babci, a nie w szkole. W nosie ma ich głupią wigilię. Może nawet pojedą z mamą dzień wcześniej do babci i wcale nie będzie musiała na nią przychodzić?... Proszę bardzo, może sobie być Królowną i nie będzie się zniżać do takich głupków. Odtąd będzie sobie wyobrazać, że jej ławka to warowny zamek. Albo jeszcze lepiej wieża. A „oni” są jej poddanymi, których widuje tylko z góry, z okien wieży. I nikt już nie zdoła jej obrazić!

Na święta jadą z mamą do babci.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tacie – prosi Alinka w samochodzie.

– Przecież wszystko już wiesz... – opiera się mama.

– Ale lubię o tym słuchać.

Mama chwilę prowadzi bez słowa.

– Tata... Hmm. Bardzo się z tatą kochaliśmy. I bardzo chcieliśmy mieć dziecko – mówi mama, a jej głos łagodnieje.

– Czekaliśmy na ciebie, odliczając tygodnie do twoich narodzin. Kiedy tata się dowiedział, że będziesz dziewczynką, był wprost wniebowzięty! Żebyś wiedziała, jaki dumny wychodził z tobą w wózku na spacer! I nosił cię bez końca, kiedy miałaś kolkę. Oj, ale teraz, Alinko, muszę się skupić na drodze. Sama widzisz, jaki duży dziś ruch. Chwila nieuwagi i... Dokończę ci opowiadać później, u babci, dobrze?

W domu babci wszystko jest na swoim miejscu. Od wejścia czuć woń kapusty z grzybami, a także taki charakterystyczny zapach babcinego domu. Alinka nabiera tego zapachu głęboko w płuca. Chciałaby go mieć zawsze przy sobie. Mama chyba też lubi

tu być. Więcej się uśmiecha, nigdzie się nie spieszy, a po obiedzie – co w domu nie zdarza jej się nigdy – zasypia z książką na kanapie.



Babcia otacza Alinkę ramieniem.

– Popróbujesz ze mną makowców? Zrobiłam dwa różne, warto wiedzieć przed świętami, czy wyszły dobre! – Puszcza oko do Alinki. Obie uwielbiają podjadać babcine frykasy.

– Jasne! – woła Alinka.

– Do tego zaparzymy sobie herbaty i siądziemy w kuchni, by nie budzić mamy. Co ty na to?

Siedzenie w kuchni u babci jest wspaniałe. Makowce też wyszły znakomite. Babcia kończy pierwszy kawałek i popija go herbatą.

– Doszły mnie słuchy, że nie za bardzo lubisz swoją szkołę.

Alinka układa wydłubane rodzyнки równo wzdłuż złotego brzeżka talerzyka.

– Wcale jej nie lubię.

– A czego najbardziej?

Wybór jest trudny. Tego, jaka jest brzydka i szara? Metalicznego dzwonka? Jazgotliwych przerw?

– Dzieci – decyduje się Alinka. – Przezywają mnie – dopowiada, bo babcia pewnie będzie chciała wiedzieć, dlaczego.

– Ba!... – uśmiecha się babcia. – Jak świat światem dzieci nadają sobie przezwiska. Jak na ciebie wołają?

Durne słowo nie chce przejść przez usta, jakby to było jakieś przekleństwo.

– Królewna – mówi w końcu Alinka.

Babcia unosi brwi w zdumieniu.

– Ładnie!

– Nieprawda, babciu. Oni to mówią złośliwie.

– A może to tylko ty myślisz, że to jest złośliwe?

Alinka chwilę się zastanawia, czy to może być prawda. Tymczasem babcia mówi dalej.

– Wcześniej czy później każdy ma w życiu jakiś przydomek – tak jak imię, nazwisko, określoną twarz, wzrost czy włosy. Na jednych mówią: Mały, Chudy, Gruby, Ruda – od ich wyglądu, innym przekręcają nazwiska. Jeszcze innym przyklejają łatkę od jakiejś ich wyróżniającej cechy. Spróbuj potraktować to jako wskazówkę. Może to jest całkiem trafne? Jesteś delikatna i wrażliwa jak królewna. Ale jednocześnie nikogo do siebie nie dopuszczasz.

Alinka się oburza.

– Ja nie dopuszczam?! To oni mają mnie w nosie! Na lekcjach siedzę sama, na przerwach stoję sama, na ćwiczeniach nie mam pary... – skarży się.

Babcia nakrywa jej dłoń swoją. Mieści się tam doskonale, jak żółw w skorupce albo ślimak – pośród czerwono-białej kratki stołowej ceraty.

– Do ludzi trzeba wychodzić, mój ty żółwiku – mówi babcia, jakby znała myśli Alinki. – Z nieśmiałości i siedzenia w kącie nic dobrego nie wyniknie. Trzeba w sobie rozwijać te dobre cechy, a te niepotrzebne... no, powiedzmy „zwijać”. Popatrz, jak w dobrym makowcu – Babcia pokazuje jej nietknięty jeszcze plaster apetycznego ciasta.

– Wszyscy lubią, żeby warstwa maku była jak najgrubsza, a warstwa ciasta jak najcieńsza. To jak z naszymi cechami: każdy chciałby się przyjaźnić z osobą, która ma dużo zalet, a mało wad. Każdy też z grubsza intuicyjnie wie, co jest w nim dobre, a co wymaga poprawy. A jeśli nie wie, to może się dowiedzieć – właśnie poprzez kontakty z innymi ludźmi. Ludzie są dla nas jak lustro, w którym możemy się przeglądać. Robimy coś – i patrzymy, jak zareagują. Warto zacząć od drobiazgu, choćby uśmiechu. Mili ludzie na uśmiech także reagują uśmiechem.

Alinka myśli nad tym, co mówi babcia. To nie wydaje się trudne... Może kiedyś spróbuje.

– Wiesz, jak mnie przezywano w szkole?

Alinka kręci głową.

– Sowa. Od nazwiska: Sowińska. Nie znosiłam tego. A im bar-

dziej ja się złościłam, tym chętniej sobie ze mnie żartowali. W końcu znalazłam na to sposób. Wiesz, jaki?

Skąd miałyby wiedzieć.

– Otóż polubiłam tę sowę w sobie. Zaczęło się od tego, że na mikołajki dostałam od kogoś z klasy obrazek z sową śnieżną, bardzo ładny. Wydawała się taka bielutka i puchata, i taka oryginalna... Zaczęłam kolekcjonować różne rzeczy z motywem sowy.

– To stąd masz te figurki sówek w sypialni? – Alinka otwiera szeroko oczy, jakby poznała jakiś babciny sekret. – Jak najbardziej! – przytakuje babcia. – Śliczne są, prawda?

Zaraz po feriach świątecznych w szkole ma się odbyć bal przebierańców. Alinka długo nie może się zdecydować, za co się przebrać. Bellą, Elzą i Czerwonym Kapturkiem była już w przedszkolu. Może za jakieś fajne zwierzątko? Kotka? Albo jednoroźca? Eee, pewnie wszystkie dziewczynki będą jednorożcami, to teraz takie popularne.

– A może pójdziemy do wypożyczalni strojów? I tam się czymś zainspirujesz? – proponuje mama.

W wypożyczalni są długie wieszaki, a na nich gęsto powieszzone najwymyślniejsze przebrania. Jest czerwono-czarna suknia tancerki flamenco z mnóstwem drobniutkich falban, frędzelków i marszczeń. Jest zwiewny strój tancerki brzucha, z brzęczącymi błyskotkami. Jest też piękna suknia z tiulu w kolorze pudrowego różu z miętowymi wstawkami.

– A to? – pyta Alinka.

– To po prostu strój królowy – uśmiecha się pani zza lady.

Alinka waha się krótką chwilę – lecz zaraz odwzajemnia uśmiech.

– Poproszę ten – mówi.



Sala gimnastyczna, w której odbywa się bal, w niczym nie przypomina dziś zwykłej sali. Na drabinkach rozwieszono długie płachty srebrzystej folii, która udaje wielkie lustro. Są też wspaniałe żyrandole z tektury oklejonej sreberkiem, mnóstwo łańcuchów i balonów. Gra muzyka i wszystkim dopisuje dobry humor. Bartek i Olaf są piratami z Karaibów.

Iza jest kierowcą rajdowym.

Ola jest jednorożcem.

Helenka jest dobrą wróżką. To do niej bardzo pasuje – dla wszystkich jest taka miła.

Alinka uśmiecha się do niej, na próbę. Helenka też się uśmiecha.

– Jesteś królewną? – pyta.

– Tak – mówi Alinka.

– Odczarujesz mnie swoją różdżką?

– Jasne! – mówi Helenka i kreśli nad głową Alinki skomplikowany wzór. – Abrakadabra! Już! Jesteś odczarowana.

Alinka faktycznie czuje się lekko i wesoło.

Naraz podjeżdża do nich Iza swoim wyimaginowanym samochodem. Zatrzymuje się z piskiem opon.

– Hej, chodźcie się bawić! Królewno, idziesz z nami?

– Pewnie! – mówi Alinka.

– Chodźmy.

Zadania:

1. Czy pamiętasz swój pierwszy dzień w szkole lub w przedszkolu? Jak się wtedy czułeś/ czułaś? Jak reagowały inne dzieci z twojej klasy/grupy?
2. Jak myślisz, czy wszyscy czują i reagują podobnie? Przypomnij sobie, jak na początek roku szkolnego reagowali Bartek, Olaf, Iza, Helenka i Alinka.
3. Czy każde z nich zwróciło uwagę na to samo?
4. Po czym poznać, że ktoś w klasie albo w innej grupie (np. na kolonii) jest smutny? Jak można mu pomóc?
5. Zastanów się nad swoimi cechami. Wymień pięć, które w sobie lubisz i pięć, które chciałbyś/chciałabyś zmienić.
6. Które z dzieci z opowiadania polubiłeś/polubiłaś najbardziej? Jak sądzisz – dlaczego?

Pytania

1. A ty masz jakieś przydomki? Lubisz je?
2. Czy lubisz chodzić do szkoły?
3. Jak uważasz – czy są sposoby, żeby wszystkie dzieci w klasie czuły się dobrze? Jak to osiągnąć?

O rybce



KTÓRA TRACIŁA KOLOR

Przecież do tej pory była kolorową rybką, jak wszystkie inne rybki w ławicy, nie rozumiem – powiedział Szczupak Stefan, wuefista i wychowawca. Płotka Beatka, wicedyrektorka podwodnej szkoły Nad Mułem i jednocześnie nauczycielka biologii, popatrzyła na niego lekko tylko zatroskana. – Ja też nie wiem, co się stało. Na moich lekcjach jest zupełnie nieobecna. I wypisała się z konkursu ekologicznego, a miała taki świetny pomysł na projekt oczyszczalni szlamu! Był już w zasadzie prawie skończony, wystarczyło wystać zgłoszenie... Przyszła do mnie nagle i powiedziała, że jednak nie chce się w nic angażować... Bez sensu! Nagle zza ich grzbietów nadpłynął Karp Karol, jak zwykle przegryzając larwy mięczaków. Miał wielki brzuch i był bardzo tłusciutki, a jego wąs lśnił, jakby właśnie wyszedł od rybiego stylisty. Jak to się mówi – gruba ryba. – O kim rozmawiacie? – zapytał. Jeśli o Rybce, to ja mam podobne wrażenie. Karol zarządzał szkolną stołówką i był najlepszym szefem kuchni w okolicy. – Ostatnio w ogóle nie zjada swoich porcji! Siedzi zasepiona nad talerzem i nic. A ja takie genialne zapiekane glony przygotowałem! – mlasnął i poruszył wąsem. – Nie przejmuj się, Karol – powiedziała Płotka Beatka. Ot, na pewno takie rybkowe wymysły. Zwykłe marudzenie. Nic takiego. Przejdzie.

II

Płynęły całą ławicą, mieniając się kolorami. Machały płetwami ogonowymi w równym, żwawym tempie, cytrynowo-żółte, pistacjowo-zielone, ceglastoczerwone, z błyszczącymi, lśniącymi łuskami i brzuskami w różnokolorowe plamki. Niektóre z nich miały też różowawe cętki na ognie. Całą grupą, gromadą, razem, przypominały niegroźne tornado albo wielki statek. Ich ruchy były bardzo harmonijne, tworzyły razem jedną, wielką,

zgraną ekipę. Tylko ona jedna, Rybka, płynęła na końcu, sama. Wlokła się za innymi rybkami, bez energii, w spowolnionym tempie. Jakby ktoś ją jedną zastopował, włączył wolniejszy tryb i jakby była ze swoimi myślami zupełnie gdzie indziej. Jakby tylko jej jedyne pływanie nie sprawiało frajdy. Zresztą, mało jadła i nie miała ostatnio siły, opuściła też kilka zajęć z doskonalenia pływania stylem klasycznym. Nie dość, że płynęła na szarym końcu, to jeszcze wyglądała na trochę poszarzałą. Było widać z daleka, że jej żółto-zielono-czerwone kolory mocno przyblakły.

III

Hej ty, Rybka, coś ty taka smutna? Uśmiechnij się! Szkoda życia, takiej fajnej rybce pasuje uśmiech! – zażartował sobie kolega z ławicowej klasy. Kiedyś go lubiła, był fajny i po lekcjach grał na muszlach w jednej ze szkolnych kapel. Rybka nic nie odpowiedziała, ale podpłynęła trochę bliżej i usłyszała, jak rozmawiają o niej trzy albo cztery rybki. Usłyszała, że zrobiła się ostatnio leniwa, ciągle narzeka, nic jej się nie chce i że totalnie przesadza. A w ogóle, to bez uśmiechu jej zupełnie nie do twarzy. To znaczy, nie do otworu gębowego. Powinna się zebrać w sobie i ogarnąć. A jak tak dalej pójdzie, to nikt nie zechce z nią pójść na Mulisty Bal w połowie roku szkolnego. A to najważniejsza szkolna impreza, nie można na nią tak po prostu nie pójść! Po tym wszystkim, co usłyszała, zrobiło jej się jeszcze ciężiej na sercu, poczuła ucisk w skrzelach i chyba straciła jeszcze trochę koloru. Akurat była przerwa i wszystkie rybki zwawo płynęły do stołówki. Dziś w menu zupa z wodorostów i plankton na ostro. Rybka przypląnęła dużo później, usiadła sama (nie chciało jej się do nikogo puszczać bąbelków rozmowy) i gapiała się w sos do planktonu. Nie mogła nic przełknąć.



Znów poczuła dławiące łyzy. Tak znikąd. To chyba nie od sosu. Ostatnio zdarzało się to Rybce coraz częściej.

IV

Na przykład na treningu pływackim. Dotąd Rybka była jedną z najlepszych pływaczek w całym wodnym zbiorniku. Szczupak Stefan, który prowadził podwodną sekcję pływania, a dodatkowo trenował też ławicę w pływaniu symultanicznym, wytypował Rybkę do udziału w zawodach, w których zajęła drugie miejsce. Dostała wtedy wielki puchar z mokrego piasku, wypełniony glonami i nagrodę w postaci rocznego darmowego wstępu do parku zabaw wodnych. Ale to było w zeszłym roku... Teraz siedziała smutno na krawędzi basenu treningowego i patrzyła w tafłę wody, zamiast do niej wskoczyć. – Ej, co jest? – zapytał kolega z sekcji, Okoń Witold. On trenował w każdy poniedziałek, wtorek, czwartek i sobotę, bo przygotowywał się do mistrzostw. – Nie wiem. Jakoś nie mam siły. Przestało mnie to chyba interesować, już nie mam z tego takiej radości, jak wcześniej – powiedziała Rybka w przypląwie nagłej ochoty na rozmowę, co i tak było dziwne, bo ostatnio głównie milczała. – Ech, rozleniwiłaś się! – podsumował Witold. – Jak to cię nie interesuje, co ty gadasz, rusz się po prostu! Zaczynaj, bo ja wiem, biegać po lekcjach? Ja biegam zawsze w środy i niedziele, a do tego w co drugi wtorek i przybiegam wtedy na trening jak na skrzydłach, mówię ci! Przerwał, bo wyobraził sobie wielką rybę z niebieskimi skrzydłami z rodziny ptaszorowatych, której z pewnością nie chciał przypominać. – W każdym razie, musisz sobie znaleźć jakieś dodatkowe zajęcia, więcej się ruszać. Nie myśleć o głupotach – powiedział ostro i popatrzył na Rybkę. Ale ona go już nie słuchała. Zanurzyła w wodzie basenu tylko koniuszek płetwy ogonowej i patrzyła martwo w jeden

punkt – w bojkę, która wyznaczała głębokość ośmiu metrów. Nie odwróciła wzroku od bojki nawet gdy Szczupak Stefan wpłynął na teren basenu razem z gościem specjalnym – Żabą Żakliną. Żaklina była czempionką pływania stylem klasycznym (czyli żabką, oczywiście) i przybyła z sąsiedniego mokradła, specjalnie by poprowadzić dzisiejszy trening. Rybka była jej ogromną fanką i czytała wszystkie wywiady z Żakliną, jakie wydał Kurier Podwodny. Miała też w swoim pokoju plakat na którym Żaba była cała obwieszona złotymi medalami zdobytymi podczas wygranych zawodów. Kiedyś, gdyby Żaklina tak po prostu pojawiła się na jej treningu, Rybka szalałaby z podekscytowania i zachwytu. Teraz nadal patrzyła się w bojkę. Nie poruszyła się nawet o centymetr.

V

To nie może tak dłużej wyglądać, musimy coś wymyślić! – grzmiał Szczupak Stefan w pokoju nauczycielskim. Płotka Beatka parzyła sobie właśnie kolejną kawę glonową i kładła na talerzyk następny, trzeci już dziś, kawałek ciasta z kremem z mułu. – Mmmm, pycha, Karp Karol stara się coraz bardziej! – oblizwała się z uznaniem. Ale tak, tak, wróćmy do tematu – zreflektowała się gdy zobaczyła karcące spojrzenie zdenerwowanego nauczyciela wuefu. – Co pan proponuje, panie Stefanie? – Nie wiem, ale trzeba ich jakoś rozruszać – kontynuował Szczupak. Znaleźć im jakieś zajęcia. Chyba się nudzą. Ach, ten dzisiejszy narybek! – wzdychał. – Rybka się nawet nie ucieszyła z ekskluzywnej wizyty Żaby Żakliny na treningu. Wyobrażają to państwo sobie?! Wiedzą państwo, ile czasu i starań kosztowało mnie zorganizowanie tego?! – Ja sobie wszystko wyobrażam, wszystko już w życiu widziałem – sapnął Sum Maurycy, nauczyciel historii. Był trochę otłuszczony i poruszał się z trudem, a do tego miał już swoje

lata. Uczył w wielu różnych miejscach na długo przed otwarciem szkoły Nad Mułem i miał ogromne doświadczenie. Niejednego rybiego ucznia już widział i nie jednego uratował przed życiowym zatonięciem, jak sam mawiał. Był uważany za doskonałego pedagoga. – Taaaak, ja już widziałem wszystko – sapnął – Ten przypadek wydaje się szczególnie ciężki... Ale mam pewien pomysł. Zorganizujmy wycieczkę! No tak – popatrzył na grono pedagogiczne, zajęte dosypywaniem kryształków cukru do filizanek z kawą. – Jeśli, damy na to, taka Rybka jest ciągle tak smutna, to znaczy, że pewnie brakuje jej zajęcia i atrakcji. Nie widzę na to innej rady.

VI

Wycieczkę rzeczywiście zorganizowano. Jako jej cel Sum Maurycy zaproponował zwiedzanie wraku statku, który znajdował się w okolicy, a wszyscy się zgodzili, także z braku lepszego pomysłu. Maurycy widział oczywiście w wycieczce okazję do przemycenia niewielkiej choćby porcji wiedzy historycznej, ale inni nauczyciele patrzyli na to sceptycznie. W każdym razie, tydzień po tym jak pojawiła się idea szkolnego wyjazdu (czy raczej wypłynięcia), równo o ósmej rano cała klasa zebrała się przed szkołą i uformowała się w ławicę. I znów Rybka zajęła ostatnią pozycję, na samym końcu grupy. Szczupak Stefan cieszył się, że w ogóle przypląnęła – po ostatnim treningu tracił nadzieję, że cokolwiek będzie ją w stanie zainteresować i pomoże odzyskać kolor. Na razie ciągle szarzała. Ławica wypłynęła radośnie, rybki cieszyły się z braku lekcji i ochoczo płynęły, śmiejąc się, bulgocząc i rozmawiając. Jak to na wycieczce, w ławicy zapanował lekki chaos, ktoś popłynął za szybko, ktoś się odłączył, żartom i chichotaniu nie było końca. Ktoś poczęstował Rybkę świeżym sokiem wyciskanim z wodorostów, ktoś inny chrupkiem, ktoś chciał zaśpiewać z nią piosenkę,



ale ona niczego nie chciała. Było jej przeraźliwie smutno. Tak bez powodu. Wszyscy mówili, że bez powodu. Że bez sensu. Że się musi ogarnąć. Nawet trochę próbowała. Próbowała się cieszyć tą wycieczką, ale jej nie wychodziło. Ławica mieniła się kolorami, z okazji wycieczki błyszczała na złoto – od łusek rybek odbijały się słoneczne promienie, był piękny dzień. Tylko Rybka cały czas pozostawała szara i matowa. Po około czterdziestu minutach dopłynęli na miejsce. Wrak był ogromny i robił wielkie wrażenie. Statek, a raczej jego szkielet, był cały obrosnięty ciemnozielonymi albo rdzawymi porostami. W niektórych miejscach wyglądały one jak wielka, rozpostarta pajęczyna. Gdzieś tam roślina wyrosła tak bujnie, że nie było już nawet spod nich widać elementów konstrukcyjnych, wyglądało to, jakby statek był utkany albo wyrzeźbiony z roślin o ciemnych kolorach. Musiał zatonąć bardzo dawno temu. Sum Maurycy na pewno zaraz ich zapyta, kiedy. Niektóre elementy zmurszały i rozpadły się na kawałki, inne dały się rozpoznać. Na przykład schody. – Ciekawe, dokąd prowadziły! – Rybka usłyszała ożywione rozmowy koleżanek.

– Może do sali balowej? Takiej wielkiej, na tysiąc par! Urządzonej z ogromnym przepychem. Ciekawe, jak wyglądały damy, które pływały tym statkiem! Rybki to jakoś nie ciekawiło. Nie czuła nic poza smutkiem. W tym otoczeniu chyba jeszcze większym. – Widzisz! – podpłynęła do niej jedna z koleżanek z ławicy, a za nią jeszcze pięć innych. – Pomyśl o tych rybkach i ślimakach, które muszą tu żyć. Brrrrrr, jak tu nieprzyjemnie! – wzdrygały się rybki i myślały o swojej spokojnej i przejrzystej części jeziora. Widzisz, inni mają gorzej! – zasypywały Rybkę argumentami.

– Uśmiechnij się wreszcie! Nie możesz się tak wiecznie nad sobą użalać. – Nie mogę – głucho potwierdziła Rybka. Nie mogę? – zapytała jakby samą siebie. Wycieczka dobiegała końca, nauczyciele prosili rybki, żeby zbierały się w ławicę i szykowały do powrotu do szkoły. Rybka przez chwilę zastana-

wiała się, czy tu nie zostać. Zaszyc się w jakiejś dziurze, między rozpadniętymi deskami, które lśniły kiedyś w burcie statku. Albo ukryć się za którąś pajęczyną z porostów, gdzie nikt jej nie znajdzie. Pasowała tu, to miejsce pasowało do jej nastroju. Mroczne i niepokojące. Już, już miała ukrywać się za zardzewiałą kotwicą tkwiącą koło schodów, ale zrezygnowała i smętnie powlokła się za ławicą. Nie miała siły nawet na to.



VII

Od kilku tygodni do Rybki i jej rodziców wydzwaniła Babcia Ryba, z pytaniami, kiedy wnuczka wreszcie ją odwiedzi. Bardzo się za nią stęskniła i chciała upiec specjalnie dla niej ulubiony przysmak – placek nadziewany muchami. Jednak Rybka, gdy tylko wracała do domu z lekcji (o ile w ogóle poszła do szkoły), rzucała plecak w kąt i zapadała w półsen. Zwijała płetwę grzbietową i szorowała brzuchem o samo dno swojego pokoju, śpiąc albo nie śpiąc, przeważnie jednak oddając się smutnym rozmyśleniom. Mama i tata nalegali coraz mocniej, by odwiedziła Babcie Rybę – i wreszcie się do niej wybrała.

Babcia od progu zaczęła serwować różne pyszności. Zrobiła też wnuczce ciepłe kakao ze słomką z komara. – No, przyptętnij tu wnusiu, tu ci będzie wygodnie, obok tego kamienia, o – rozgość się, porozmawiamy sobie. Babcia jak zwykle zaczęła wychwalać swoją wnuczkę (jaka to mądra i zdolna!)

i zachwycać się nią (jakie ma śliczne oczka, płetwy, figurę – jak ona dobrze wygląda!) oraz wypytywać o różne rzeczy (co tam w szkole, co w domu, jak było na wycieczce, gdzie Rybka chce wyjechać na ferie zimowe...) Ale potem zaczęła wypytywać o koleżanki z klasy. Ula czy Ela, która jest najlepszą przyjaciółką? Ile Rybka ma koleżanek? W co lubią się razem bawić? U której w domu już była? Gdy jednak Babcia zorientowała się, że wnuczka na ten temat nie ma za wiele do powiedzenia, zaczęła się martwić. – Oj, wnusiu! Nie możesz tak wiecznie sama pływać. Trzeba mieć jakieś przyjaciółki od serca. Wypłyn do rybek! Naprawdę nie ma żadnej miłej rybki w całej twojej ławicy? – naciskała. Rybka poczuła, jakby miała w gardle coś nie do przełknięcia, co utrudnia jej oddychanie. Jakby zadławiła się kulką chleba, jedną z tych które wpadają czasem do jeziora, nie wiadomo skąd. Rodzice zawsze ostrzegali, żeby ich nie jadła. Poczula też, że znów traci kolor i że do oczu cisną jej się łzy. Żeby nie martwić Babci, szybko się pożegnała (mam jeszcze bardzo dużo nauki na dziś! Dziękuję za ciasto, Babciu! – krzyknęła tylko) i wypłynęła, nie zatrzasnąwszy nawet dobrze szuwarowych drzwi. Nie rozumiała sama, co się właściwie z nią dzieje. Dlaczego się tak źle czuje? Dlaczego tak zareagowała na troskliwe pytania? Babcia, jak to Babcia, wypytuje o wszystko i zawsze ma tysiąc porad na minutę, czasem trochę niedzisiejszych... Przecież to wszystko z dobrego serca i troski. Rybka nie pierwszy raz znalazła się w podwodnym ogniu pytań Babci i zawsze jakoś sobie z tym radziła, bawiło ją to nawet. Tym razem coś było zupełnie inaczej i nie tak, jak powinno. Rybka czuła, że coś jest w jej życiu bardzo nie w porządku. Ale nie umiała nazwać, co dokładnie.

VIII

Mulisty Bal zbliżał się wielkimi pluskami i wszystkie rybki mówiły tylko o jednym. Kto z kim i w czym pójdzie. Część rybek szyła sobie ubrania u pana Raka Rakoix, słynnego na całe jezioro projektanta mody. Inne chodziły na kurs podwodnego tańca. Plotkowano, gadano i rozmawiano, wszyscy rozważali też, co Karp Karol przyszykuje na tak wysmienitą okazję. Może duszoną trawę morską? Jedynie Rybka nie zastanawiała się nad tym wszystkim. Więcej – w ogóle jej to nie obchodziło. Doszło nawet do bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Kiedy Rybka siedziała samotnie pod kamieniem, czekając na lekcję angielskiego, podpłynęła do niej koleżanka z klasy, Ula. – Słuchaj, bo ja widziałam kiedyś u ciebie taką mini torebkę... – zaczęła. – Taką z brokatem, w niebieskie cętki. Ona by mi świetnie pasowała do ogona. Pożyczysz mi na Bal? No bo ty chyba z nią nie pójdziesz... Teraz ci nie będzie pasowała, jak tak wyblakłaś. – Ja w ogóle nie pójde! – histerycznie wykrzyknęła Rybka i, już przez łzy, dodała: – odczepcie się wreszcie wszyscy ode mnie! Po czym bardzo szybko odpłynęła i ukryła się pod jakimś głazem. Nikt jej nie mógł tam już do końca dnia znaleźć.

Na Bal też nie poszła. I w ogóle, zaczęła coraz częściej znikać ze szkoły. Znikać albo wcale się nie pojawiać. Potrafiła spędzić cały dzień w łóżku, prawie nic nie jedząc i niemal się nie poruszając. Nie odpowiadała na zaproszenia do znajomych w rybkowych portalach społecznościowych ani na żadne wiadomości. Nie reagowała na żadne „bul bul bul”, oznajmujące, że ktoś do niej napisał. Raz tylko przeleciało jej przez głowę pytanie, jak mogła ustawić tak denerwujący dzwonek w telefonie. Nie przyjmowała też zaproszeń na wydarzenia, które organizowały rybki z jej klasy (a raczej

ich rodzice dla swoich dzieci). Krótko mówiąc, zniknęła zupełnie z życia społecznego i towarzyskiego. Zaczęto podejrzewać, że to nie było zwykłe narzekanie, lenistwo i zły nastrój. Szeptano już coraz bardziej otwarcie o tym, że tę zmianę musiało spowodować coś innego niż „wymysły” i „marudzenie”. Czyżby Rybka miała poważniejsze problemy?

IX

To było jakiś niecały miesiąc po Balu. Na jedną z lekcji, w której Rybka akurat uczestniczyła (co prawda przysypiając przy trzcinowym stoliku), wszedł nagle wychowawca – Szczupak Stefan. Klasa bardzo się zdziwiła, bo wszedł nie sam, lecz z rybką, na oko w ich wieku. – Nowa uczennica – obwieścił pan Stefan. – Alicja. Przyjmijcie ją ciepło. Byle nie za ciepło! Gdy woda w jeziorze jest za gorąca, ryby źle się czują, wicie przecież. – Oczywiście, że wiedzą! – wtrąciła się Płotka Beatka, bo to była akurat jej lekcja biologii.

Nie byłoby w nowej uczennicy dołączającej do klasy nic szokującego, nawet w samym środku roku szkolnego. Ale jednak. Jeden szczegół. Mały drobiazg. Rybka Alicja była tylko w połowie kolorowa! Dokładnie w połowie jej ciała kończyły się barwy i zaczynała się szarość. Była kolorowa, choć bardzo wyblakła, od strony ogona i zupełnie szara od strony głowy. Tak jakby bardzo precyzyjny artysta postanowił pomalować ją dokładnie pół na pół: linia podziału szarość/kolor znajdowała się dokładnie między pierwszą i drugą płetwą grzbietową. Wszyscy, całą ławicą patrzyli na nią, jakby była gościem z kosmosu. – Hej, mogę koło ciebie popływać? Chyba masz wolne miejsce przy stoliku? – Alicja zadała to pytanie Rybce, nagle znajdując się bardzo blisko niej.

X

Przeplływały tak razem tę biologię, a potem cały tydzień szkolnych zajęć, ten i jeszcze kilka następnych. Rybka zaczęła nawet dużo częściej pojawiać się w szkole. Nie był to typ radosnych, szczebioczących szkolnych przyjaciółek. Ale było widać, i wszyscy to zauważyli – i wychowawca Szczupak Stefan, i Płotka Beatka, i Sum Maurycy, i cała ławica, a nawet Karp Karol – między Alicją i Rybką zawiązał się jakiś szczególny rodzaj porozumienia. Skoro nie chodzą po lekcjach na dodatkowe zajęcia sportowe, nie trenują pływania, nie spotykają się, żeby pograć w gry i nie uczestniczą w przyjęciach urodzinowych organizowanych po kolei przez wszystkie rybki z ławicy, to co one robią? Jak spędzają czas? – zastanawiały się głośno rybki – koleżanki i koledzy z klasy, a niektórzy proponowali nawet przeprowadzenie małego śledztwa.

XI

Fakty, jak to często bywa, wyszły na jaw przypadkiem i niespodziewanie. Któregoś dnia rybka Ula przeplływała razem ze swoją mamą koło punktu w jeziorze, gdzie nagle robiło się bardzo głęboko. Szukały prezentu dla taty Uli, a tam można było znaleźć świetny torf, idealny do polerowania rybich wąsów. W pobliżu było miejsce, gdzie rościło bardzo dużo trzciny i wodorostów. Właśnie zza tych wodorostów Ula nagle zobaczyła... Rybkę! A w zasadzie całą grupę szarych lub częściowo szarych rybek, pływających w kręgu i rozmawiających ze sobą. Było widać, że mają bardzo ważne tematy. Tylko jedna ryba była kolorowa i łatwo można się było zorientować, że prowadzi to spotkanie. Wkrótce Ula dostrzegła wśród uczestników także Alicję. Nie poznała jej od razu, bo Alicja zaczynała mienić się na cytry-

nowo-żółto od strony oka i nozdrzy. Gdy Ula z ukrycia popatrzyła znów na Rybkę, zobaczyła, że ta też ma trochę wyraźniejsze kolory. Już nie była taka szara! Zielony nadal jeszcze był mocno przyszarzony, ale spod szarości bardzo wyraźnie zaczynały prześwitywać czerwień i żółć. – Ula, no chodź, mam ten torf. Spływamy stąd. – Mama pociągnęła ją lekko, choć ponagla- jąco za płetwę i Ula niestety nie zobaczyła już niczego więcej.

XII

Gdy po weekendzie Ula wróciła do szkoły, okazało się, że nie tylko ona za- uważyła tę zmianę. Od wejścia usłyszała, jak kilka innych rybek z ławicy też o tym plotkuje. Nabieranie kolorów przez Rybkę stało się tematem numer jeden na każdej szkolnej przerwie. Dziennikarze szkolnej gazetki chcieli nawet przeprowadzić z nią wywiad do działu „Inspirujące metamorfozy”, ale opiekun redakcji Sum Maurycy stwierdził, że to na razie zbyt ryzykow- ne. Mimo tego, rozmowy na temat (na razie powolnej, ale dobre i to, jak mówiono) przemiany Rybki toczyły się bez ustanku. – I dobrze! Wresz- cie wróci do sekcji pływackiej i będzie można się z kimś naprawdę pości- gać. Kiedyś była świetna – opowiadał Okoń Witold... – Ja to bym chciała wreszcie pograć z nią w nasze ulubione gry, jak kiedyś. Albo przynajmniej żeby do mnie wpadła na kubek pysznego kakao z posypką z pajaków wod- nych – rozmarzyła się inna rybka. A widzicie, a jak my jej mówiliśmy, żeby się uśmiechnęła, ogarnęła, nie smuciła, nie dramatyzowała, przestała się nad sobą użalać i zaczęła bawić, tak jak inni, to nic – nie reagowała! Tyle razy jej powtarzaliśmy, że nie ma tak najgorzej. Żeby zaczęła się po postu cieszyć życiem, jak inni! – gorączkował się jeden z kolegów. Ten, który za- czepiał Rybkę, gdy smutno płynęła na końcu ławicy. – Może źle jej mówili- śmy – powiedziała Ula. Może to nie było dla niej takie proste: uśmiechnąć się. Wszyscy popatrzyli na nią zdumieni. Nikt już nie powiedział ani słowa.

XIII

– A co ci właściwie było? – zapytała Ula Rybkę, gdy siedziały we dwie przy stoliku w stołówce nad kolejną pyszną potrawą z repertuaru Karpia Karo- la. Jakoś tak wyszło. Alicji akurat nie było i Ula się dosiadła, a Rybka nawet się do niej lekko uśmiechnęła.

– Byłam chora – odpowiedziała Rybka. W sumie to ciągle jeszcze jestem.

– Ale przecież nie miałaś gorączki?

– No nie.

– Ani kataru? – dopytywała Ula.

– Też nie – potwierdziła Rybka.

– Ani kaszlu.

– Nie, kaszlu też nie miałam.

– A świszczanie w skrzelach?

– Nie za bardzo.

– To może chociaż łzawiące oczy? – nie rezygnowała Ula.

– Nie wszystkie choroby są do rozpoznania gołym okiem – powiedziała Rybka. Są takie, które bardzo męczą, mimo że z pozoru wszystko jest w porządku i ciało jest zdrowe. Ja tak miałam. Alicja mi pomogła. Zabrała mnie na spotkanie do takiej grupy, gdzie powinnam trafić już dawno. Tam spotkałam inne rybki, które też czuły się szaro. I były szare. Wiesz, nie na wszystkie choroby pomaga syrop albo krople do nosa. Ale to nie znaczy, że nie można ich wyleczyć! W chwili, gdy to mówiła, wszystkie jej płetwy na- brały kolorów. Cytrynowo-żółtego, pistacjowo-zielonego i ceglasczerwone- go. W oczach pojawił się blask. A na brzuszku zaczęły się mienić śliczne, różnokolorowe plamki. Dokładnie tak, jak wcześniej.

Wnioski

zestaw wniosków/rad

Słowa mają dużą moc i czasem możemy za ich pomocą kogoś zranić, nie wiedząc o tym. Nawet jeśli chcemy dobrze, nie wszystko, co mówimy, może zostać dobrze odebrane. Trzeba naprawdę dużej uważności i empatii, żeby „wczuć się” w drugiego człowieka i zrozumieć jego emocje.

Wszyscy mamy czasem zły dzień, gorszy nastrój. Jednak niektórzy ludzie zupełnie tracą zdolność odczuwania radości, nic ich nie cieszy. Nie potrafią czerpać radości z niczego, co wcześniej bardzo lubili, co był ich pasją. Gdy dołączają do tego inne objawy, wtedy może już być to choroba, a nie zwykły „zły humor”.

Zły stan zdrowia psychicznego może dawać także objawy fizyczne (tzw. „somatyczne”), takie jak brak apetytu lub jego wzmożenie – zaburzone łaknienie, ból brzucha, chudnięcie, senność albo bezsenność, ogólne osłabienie, przemęczenie i wiele innych.

Gdy zauważymy takie objawy u kogoś w naszym otoczeniu, na przykład kolegi lub koleżanki z klasy, nie lekceważmy ich. Rybka – bohaterka bajki była chora na depresję. Brała udział w psychoterapii w formie spotkań grupowych. Jest to jedna

z możliwych form leczenia (ale nie jedyna). Depresję można wyleczyć! Proces zdrowienia jest jednak na ogół rozciągnięty w czasie. Bardzo ważne jest przy tym wsparcie rodziny i bliskich osób: opieka, życzliwość i zrozumienie.

Pytania i ćwiczenia

dla czytelników

Pytania:

Jak zachowywała się Rybka? Co się z nią działo? Co odróżniało jej zachowanie od zachowania rówieśniczek i rówieśników? Jak odnosili się koledzy z klasy-ławicy do Rybki? Jak reagovali na jej nietypowe zachowanie i zmieniony nastrój? Co mówili? Co robili? Jak działało to na Rybkę? Jak ona się z tym czuła?

Czy nauczyciele dostrzegli problemy Rybki? Jak próbowali im zaradzić?

Jak myślisz, dlaczego Rybka tak zareagowała podczas wizyty u Babci Ryby?

Co pomogło Rybce?

Co cię najbardziej zdziwiło, zaskoczyło w tej bajce?

Czego się dowiedziałeś/dowiedziałas? Jakie wnioski, według ciebie, płyną z bajki?

Jak zareagowałbyś/zareagowałabyś gdyby w twojej klasie był ktoś, kto zachowuje się tak jak Rybka?

Ćwiczenia:

Który fragment bajki, jakie zdarzenie najbardziej zapadło ci w pamięć? Narysuj ten konkretny moment. Spróbuj odtworzyć go dokładnie. Nie chodzi o to, aby stworzyć rysunkowe arcydzieło, tylko żeby narysować – tak jak czujesz, coś, co zrobiło na tobie największe wrażenie.

Jeśli czytasz tekst i wykonujesz te ćwiczenia na zajęciach z klasą/grupą, gdy skończycie rysować, obejrzyjcie razem wszystkie rysunki. Ułóżcie je w kolejności chronologicznej – tak, aby po kolei ułożyć całą opowieść z rysunków. Czy któregoś momentu brakuje? Czy wybraliście dużo różnych fragmentów? Czy był jakiś moment, który zrobił wrażenie na szczególnie dużej liczbie osób? Który to moment? Jak myślicie, dlaczego ten? Porozmawiajcie o tym.

Następnie dobierzcie się w zespoły – jeśli jest to możliwe, złożone z osób, które narysowały te same albo zbliżone do siebie fragmenty historii. Będziecie w tych zespołach na różne sposoby je przedstawiać. Pierwsze zadanie polega na tym, by pokazać to, co dzieje się w wybranym przez każdą grupę momencie historii tylko za pomocą dźwięku. Poszukajcie różnych dźwięków, które mogą wydawać przedmioty zgromadzone w sali/pomieszczeniu, w którym się znajdujecie. Czym można uderzyć o siebie, co przesunąć, czym załopotać? Wykorzystajcie stoły, krzesła, zastony, firanki, a także różne mniejsze przedmioty. Co szura, co piszczy, co skrzypi? Sprawdźcie też, jakie dźwięki możecie wydawać wy sami (klaszcząc, tupiąc, skacząc, stukając o podłogę czy o ścianę, miętosząc fragmenty swoich ubrań albo swoje włosy itd.). Jakie dźwięki pasują wam do waszego momentu historii? W jakiej sekwencji powinny zostać ułożone, by pokazać przebieg zdarzenia? Gdy wszystkie grupy będą gotowe, usiądźcie razem na podłodze. Wszystkie osoby poza tymi, które prezentują dźwiękową opowieść mają zamknięte lub zasłonięte oczy. Jedna grupa prezentuje dźwiękową historię, pozostałe słuchają, skupiając się na swoich wrażeniach. Prezentujcie historię chronologicznie – zaczyna ta grupa, która wybrała najwcześniejszy moment z bajki. Po każdej prezentacji porozmawiajcie: co usłyszeliście? Jak myślicie, co się wyda-

rzyło? Jak czuliście się, słuchając historii? Jakie emocje w was to wzbudziło? Jak to na was podziało? Jakie wrażenia mieliście? Jak myślicie, jak w tej sytuacji czuła się Rybka? Jaki to był dla niej moment?

*Jeśli wykonujesz ćwiczenia samodzielnie, też możesz zrobić to zadanie – poszukać dźwięków w swoim pokoju/domu, a potem zaprosić domowników do posłuchania dźwiękowej historii. Ciekawe może być sprawdzenie, jakie oni (nie czytając wcześniej bajki) będą mieli wrażenia.

Kolejne zadanie to zaprezentowanie tej samej sceny – fragmentu historii za pomocą samych gestów. Pracujecie w tych samych grupach. Tym razem dźwięki są zakazane! Nie można nic mówić, najlepiej nie wydawać też żadnych dźwięków (o ile się wam to uda). Możecie teraz zobaczyć, jak koledzy przedstawiają fragmenty historii, które wcześniej były tylko słyszane. Jak zmienia to wasz odbiór? Jakie macie teraz wrażenia odnośnie tego, co spotkało Rybkę? W jakim Rybka była nastroju, co mogła czuć? Jakie emocje się pojawiają?

Jeśli macie czas i ochotę, możecie rozszerzyć ćwiczenie o trzecią część: połączyć dźwięki z gestami, być może dodać słowa i zaprezentować – odegrać całe sceny na podstawie wybranych przez was fragmentów bajek.

Co było dalej? Jak myślisz, co mogło potem przydarzyć się Rybce, jej koleżance Alicji i całej łańdzy? Dopisz jeden rozdział albo dorysuj dalszą część tej historii.

(ćwiczenie dla 8-9-latków)

Przez dokładnie jedną minutę porozmawiajcie w parach o tym, co to znaczy „chorować”. Jaka jest wasza definicja? Następnie macie dokładnie 3 minuty (nauczyciel albo ktoś z was pilnuje czasu ze stoperem w ręku) na to, aby wypisać jak najwięcej skojarzeń ze słowem „choroba”. Wypisujcie wszystko, co przyjdzie wam do głowy – każde skojarzenie osobno, na oddzielnej samoprzylepnej karteczce. Następnie każda para przykleja wszystkie swoje karteczki do tablicy/ściany albo na dużej kartce papieru – kartonie. Przeczytajcie wszystkie skojarzenia i pogrupujcie je: niech te same – podobne skojarzenia znajdą się koło siebie. Czy jakieś skojarzenie wcale się nie powtarza? Co powtarza się najczęściej? Czy skojarzenia dotyczą tylko fizycznych symptomów choroby (kaszel, katar, gorączka)? Czy przeczytana bajka w jakiś sposób zmieniła wasze myślenie o chorowaniu? Jeśli tak, to w jaki?

Samorozwój

POPRAZ SZTUKĘ



Mamo, Adaś uwielbia rysować, ciągle rysuje jakieś swoje malowidła. A pani powiedziała, że jak tak ciągle będzie rysował, to zostanie wielkim artystą i będziemy jego prace oglądać w muzeum. A Basia, mamusiu, to chodzi i śpiewa, na podwórku śpiewa i w łazience śpiewa. Śpiewa ciągle i wszędzie, różne piosenki, a najwięcej to takich zmyślonych.

– A ładnie śpiewa, Oleńko?

– No coraz ładniej. A Pani mówi, że jak Basia będzie tak dużo ćwiczyła, to śpiewanie, to zostanie słynną piosenkarką i będziemy za jej koncerty słono płacić.

– To bardzo możliwe, Oleńko.

– Mamo, a o Bartku to pani mówi, że ma złote nogi, bo jak on tymi nogami wywija, to nawet przychodzi pani Tereska z grupy maluchów, żeby popatrzeć i mówi, że kiedyś też chciała tańczyć, ale siły i wytrwałości nie wystarczyło.

– To prawda Oleńko.

– Mamo, a pani Beatka powiedziała, że taka praca nad sobą, to samorozwój. A samorozwój to taka zabawa w to, co kto lubi robić najbardziej. I kiedy tak się bawisz w to rysowanie, śpiewanie, tańczenie to nagle zauważasz, jak wielkie masz możliwości i jak wiele rzeczy potrafisz robić.

– Tak Oleńko, a najlepsze jest to, że inni też to widzą i zaczynają to doceniać.

– Mamo, ale ja ani nie śpiewam, ani nie tańczę, no i rysowanie też mi nie idzie najlepiej.

– Oleńko w tym samorozwoju chodzi o to, żeby to co robisz sprawiało ci przyjemność i wpływało na twoje dobre samopo-

czucie i wszystko co robisz było przyjemnością i pasją. Wtedy osiągniesz sukces.

– Mamo, to znaczy, że jak będę piec z babcią Jagódką te nasze ulubione ciasteczka, to zostanę kiedyś wielką babką?

Pytania i zadania:

**Co każdy z was lubi robić najbardziej?
Co was interesuje i w czym czujecie się dobrze?**

Co was wyróżnia?

– Tatusiu, popatrz, jak rozwinęła się ta róża, którą dałeś mamusi na urodziny!

Nastąpił jej samorozwój.

– Oleńko, samorozwój, to pojęcie które dotyczy człowieka i następuje wtedy, gdy wkładamy w to pracę, gdy działamy i udoskonalamy siebie.



- A pamiętasz tatusiu, jak Antek i Staś przynieśli ze strychu dziadków wielki worek klepek od podłogi i budowali z nich fortecę... coraz większą i większą, aż zajęła cały ich pokój, a potem przedpokój i waszą sypialnię.
- Oj, pamiętam Oleńko, pamiętam, była trudna do zdobycia, ta forteca.
- I ona miała taki samorozwój...?
- Nie Oleńko, to twoi starsi bracia mieli samorozwój. Nauczyli się wtedy, jak współpracować, jak działać razem, jak wspólnie tworzyć, żeby z dumą móc obserwować, jak rośnie ich dzieło. Wtedy chłopcy pierwszy raz pracowali razem przy tak dużej budowlu i wcale się nie kłócili. Wtedy nauczyli się, co to znaczy współpraca. Zrozumieli, że tworząc wspólne dzieło, zrobili coś dla siebie. A dla nas Oleńko ich roześmiane buzie to bezcenne wspomnienie.
- Ale przy sprzątanu fortecy to już się kłócili.



Pytania i zadania:

Co to jest forteca?

Co to jest projekt?

Podzielcie się na zespoły. Jeden zespół projektuje na dużym kartonie fortecę, a drugi zespół buduje tę fortecę z klocków. Postarajcie się, jak najdokładniej odwzorować projekt.

Czego uczy nas współpraca?



- Tatusiu! Kiedy byliśmy z babcią Jagódką w sklepie mięsnym, babcia poprosiła panią ekspedientkę o sztukę mięsa na rosół. W piątek idziemy na sztukę teatralną. Pani Beatka mówi, że sztuką jest być z nami cały dzień i nie ogłuchnąć. A dziadek powtarza, że mieć cierpliwość do naszej trójki, to wielka sztuka. To co to jest ta sztuka?
- Sztuka, Oleńko, to wytłumaczyć dziecku słowo, które ma tak wiele znaczeń. Sztuką jest na przykład twoja umiejętność co-

dziennego wybierania ubranek, które masz na siebie założyć. Dla mnie sztuką jest uczesanie twoich niesfornych loczków i zrobienie równego przedziałka. Sztuka to również codzienna próba przekonania was do zjedzenia sałaty lub ogórków.

– Tatusiu, a lalka z papieru toaletowego, którą zrobiłam z dziadkiem, to sztuka?

– Tak Oleńko. Sztuka w znaczeniu artystycznym, jak rzeźba czy obraz, to coś sztucznego, co nie istnieje naturalnie w przyrodzie i zostało wytworzone z naszej wyobraźni, naszych umiejętności i naszego działania. Jak sama widzisz, córeczko, zrozumienie co to jest sztuka, jest po prostu wielką sztuką.

Sztuka
to zrozumieć
SZUKĘ!



Pytania i zadania:

Podzielcie się na zespoły. Każdy zespół podaje jak najwięcej znaczeń słowa sztuka.

Postaraj się podać jak najwięcej wyrazów pochodnych od wyrazu sztuka, podaj ich znaczenie.

**Wymień dziedziny sztuki, które znasz:
malarstwo,...**



- Co robiliście dziś w szkole, Oleńko?
- Dziś był u nas pan Basowy!
- To ciekawe!
- Przywiózł ze sobą wielki bęben, a potem wybrał Helenkę, która grała na tym bębnie.
- A co grała?
- Ona tworzyła, mamo! Sama tworzyła utwór.
- Podobało ci się?
- Bardzo! Mamo, ten pan Basowy, to tata Helenki i oni tak tworzą razem w domu. Helenka na bębnie wygrywa swoje emocje.
- A jakie emocje dziś grała?
- Dziś była radość i duma! Tak Helenka zatytułowała swój utwór. Do bębna pan Basowy dopuścił też naszego Maćka. On

miał wyrażać swoje emocje, dobrze trafił, bo Maciek to same chodzące emocje, jak mówi pani Beatka. Pan Basowy powiedział, że gra na bębnie, to świetny sposób na wyrażanie siebie. Tak sobie myślę mamusiu, że ten sąsiad dziadków, który gra na perkusji, to musi mieć talent do wyrażania emocji. A dziadek mówi, że emocje sąsiada ostatnio sięgają zenitu.



Pytania i zadania:

Co to są emocje?

Jakie znacie emocje?

Co to znaczy: „sięgać zenitu”?

Co to znaczy: „wyrażać się poprzez sztukę”?

Co to znaczy: „panować nad emocjami”?

Jak uważasz, czy emocje są potrzebne do „wyrażania się przez sztukę”?

Pokaż za pomocą pantomimy emocje i niech twój koleś je odgadną.



– Dziś byliśmy w pracowni ceramicznej. Dostaliśmy fartuchy od pana Janka. Usiedliśmy przy wielkim drewnianym stole. Dostaliśmy po kawałku gliny i padł temat: owady. Nastąpiła wielka cisza. Wszyscy zastanawiali się co zrobić. Tylko Zosia natychmiast zaczęła lepić. Ja przekręcałam glinę z jednej strony na drugą. Wałkowałam, rozgniatałam, dzieliłam na fragmenty, potem znowu łączyłam... do niczego nie była podobna ta moja praca. Zosia zrobiła piękną biedronkę. Matylda konika polnego, Marysia muszkę-łakomczuszkę, każdy coś już miał, a ja przed sobą wygniatałam, przekładałam i wałkowałam ciągle ten sam kawałek gliny, czas płynął nieubłaganie. Złowieszczy koniec nadszedł. Czas chwaleń się swoimi pracami i podziwiania dzieł innych. Pan Janek chodził wokół stołu i zachwycał się, wymieniając zalety poszczególnych prac. Nagle stanął nade mną i zamilkł. Po chwili podniósł moja rozwałkowaną w długi rulonik glinę i z absolutnym zachwytem westchnął: Dżdżownica! To po prostu piękna, długa, zdrowa dżdżownica! Wspaniale wygnieciona i wywałkowana!

– Bo widzisz Oleńko, Pan Janek jest prawdziwym artystą i wszystko widzi oczami wyobraźni.

Pytania i zadania:

Co to znaczy: „widzieć oczami wyobraźni”?

Spróbujcie zamknąć oczy i wyobrazić sobie miejsce, w którym chcielibyście się teraz znaleźć.

Zabawcie się w kalambury. Niech jedno z was przy pomocy gestów pokazuje zwierzęta, a pozostali niech odgadną, jakie to zwierzę.

- Oleńko co dziś było na obiad?
- Zupa pomidorowa.
- A na drugie danie?
- Kotlecik mielony z burakami i ziemniaczki. Mamusiu, zauważyłam, że zawsze jak są buraki, to na talerzach zostają obrazy.
- Jakie obrazy?
- Po zjedzeniu wszystkiego na moim talerzu była dzisiaj żaglówka. Taki obrazek. A na talerzu Tymka statek piracki, Zosia widelcem zrobiła słoneczko, a u Franka został nieruszony obiad.

Dziś przy obiedzie była z nami pani dyrektor. Postanowiła sfotografować nasze poobiednie dzieła i powiesić zdjęcia na kreatywnej tablicy z tytułami, jakie im nadaliśmy.

– To świetny pomysł córeczko. Myślę, że następstwem każdej zabawy twórczej jest spostrzeganie świata inaczej. Ta zabawa pokazała wam, że wszystko zależy od tego, jak my patrzymy na otaczający nas świat, i że we wszystkim co nas otacza możemy zobaczyć sztukę.

Pytania i zadania:

Zdejmijcie swoje kapcie i ze wszystkich wspólnie ułóżcie obraz. Poproście panią o sfotografowanie waszego kapciowego dzieła, obejrzyjcie je później na ekranie komputera, telefonu, tablicy lub innego urządzenia.

Zastanówcie się, co w waszym otoczeniu można by było sfotografować, co tworzyłoby ciekawe obrazy.

Zapamiętaj słowo happening, które oznacza wydarzenie o charakterze artystycznym, często nieprzewidywalne i trwające określony czas, często krótko.



– Tatusiu, pani dyrektor powiedział dzisiaj o pani Beatce, że jest bardzo kreatywna i bogata twórczo, bo potrafi robić coś z niczego. Pani Beatka tworzy ciągle coś nowego, wymyśla nowe zabawy i prace plastyczne. I ciągle przynosi coś z tych swoich kursów i szkoleń. Pani mówi, że te szkolenia to jak supermarket artystyczny. Można tam zaczerpnąć mnóstwo pomysłów. Ja też będę chodzić na takie szkolenia i wtedy będę bogata.

– Oleńko być bogatym twórczo oznacza co innego od bycia bogatym materialnie. Bogactwo twórcze to poszerzanie wyobraźni, odkrywanie w sobie innego spostrzegania rzeczy, które nas otaczają. Wyobraź sobie co można zrobić z papierkami po ciulkach.

– No, ja bym je wyrzuciła, tatusiu.

– No właśnie, a pani Beatka zrobiła z wami: korale na dzień mamy, muchę dla taty, konfetti na bal przebierańców, kwiatki do laurki na dzień babci i śliczne, błyszczące płatki śniegu na choinkę.

– Tak, tak, pamiętam i wszyscy pytali: „gdzie i za ile pani to kupiła”.

– Widzisz Oleńko i to jest właśnie to bogactwo twórcze.

Pytania i zadania:

Co oznacza słowo kreatywny?

Z pomocą nauczyciela zaprojektujcie i wykonajcie z plastikowych butelek nowe „przedmioty” np. lejek, pojemnik na kwiatki i inne.

Co to jest ekologia?

Czy wiesz, że aby zniknęła (rozłożyła się) plastikowa butelka po wodzie trzeba czekać od 100 do 1000 lat? A aby guma do żucia rozkłada się w ciągu 5 lat!



– Mamusiu, dzisiaj oglądałam z dziadkiem zdjęcia, te z jego dzieciństwa. Na jednym z nich jego tata ubrany w mundur ułański i dziadek na koniu na biegunach wyglądali tak jakoś teatralnie. Na innych, prababcia miała długą suknię, taką do ziemi, a prapradziadek wielki czarny kapelusz.

– Cylinder, taki kapelusz nazywa się cylinder.

– Moje zdjęcia z tatą na plaży są zupełnie inne. Takie zwyczajne.

– Widzisz Oleńko, wszystko się zmienia. Kiedyś ludzie żeby zrobić sobie zdjęcie musieli iść do zakładu fotograficznego. Specjalnie w tym celu szykowali i ubierali się odświętnie. Dzisiaj aparat fotograficzny może mieć każdy i robić zdjęcia wszystkiemu i wszystkim. Ludzie dzięki swojej wyobraźni udoskonalają świat techniki, co pozwala zmieniać otaczającą nas rzeczywistość i nasze codzienne życie. Gdyby ludzie nie rozwijali się twórczo i nie marzyli, nasz świat wyglądałby zupełnie inaczej. Dzięki temu, że chcemy zmieniać siebie, jesteśmy ciekawi, chętnie poznajemy i uczymy się, wszyscy na tym korzystamy, a dzięki temu że chcemy nad sobą pracować żyje nam się coraz lepiej, łatwiej i piękniej.

A teraz chodź, zrobimy sobie śliczne zdjęcie i wyślemy je tatusiowi.



Pytania i zadania:

Ze zdjęć z kolorowych gazet zróbcie – pracując w grupach – duży kolaż.

Kolaż to technika artystyczna polegająca na łączeniu wyciętych lub wyrwanych fragmentów zdjęć, wydruków tworząca nowe obrazy.



– Tatusiu, czy coroczne ubieranie choinki, robienie łańcuchów, ozdób choinkowych, malowanie jajek i strojenie naszego domu na święta to też samorozwój poprzez sztukę?

– Wszystko o czym mówisz to tradycja. Takie ozdoby robili nasi rodzice i dziadkowie, a wcześniej ich rodzice i dziadkowie. Podtrzymywanie tradycji to bardzo ważny element samorozwoju. To cykliczna, czyli powtarzająca się czynność, która prowokuje nas do wspomnień i poznania historii naszej rodziny, czyli naszego pochodzenia. Aby móc się rozwijać, musimy poznać naszą tradycję i nasze korzenie.

– A gdzie w tym sztuka?

– To zależy od wykonania – na przykład – łańcucha na choinkę. Twoje pierwsze próby, jak pamiętam, to była sztuka raczej abstrakcyjna, dopiero z czasem doszłaś do takiej wprawy, że obecne twoje wyroby artystyczne można nazwać sztuką użytkową.

– Żartujesz sobie ze mnie!

– Tylko troszeczkę, ale łańcuchy, nawet te pierwsze bardzo mi się podobają, masz we mnie wiernego odbiorcę twojej sztuki.

Pytania i zadania:

**Jakie znacie polskie obyczaje świąteczne?
Na przykład śmigus dyngus.**

Czy znacie różnicę między sztuką a sztuka ludową?

Kto je tworzy?

**Wyłumaczcie znaczenie słów: artysta, rzemieślnik,
amator, twórca, wykonawca.**



– Tatusiu, czy przyroda jest sztuką?

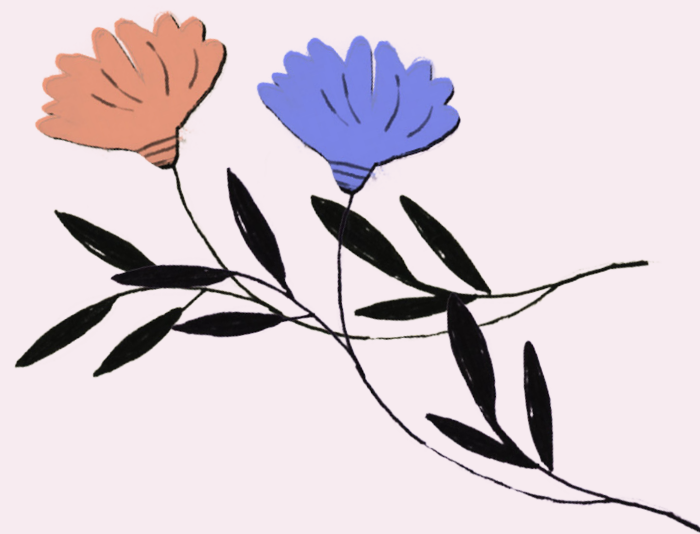
– Przyroda jest żywa, więc sama w sobie nie jest sztuką, ale gdy babcia podcina swój pięćdziesięcioletni bukszpan w kształt wielkiej kuli, to to jest wtedy sztuka. Tę sztukę babcia odczuwa co

najmniej jeszcze przez tydzień i jest zmuszona używać maść na bóle mięśniowe.

– Ale pani Beatka powiedziała, że sztuka wymaga poświęceń.
– Ma racje, przecież są dziedziny sztuki, w które trzeba włożyć ogromną pracę fizyczną, chociażby rzeźbienie, które polega na ciężkiej pracy fizycznej, obróbce i odejmowaniu na przykład z olbrzymiego głazu fragmentów zwanych łupkami, dzięki czemu przybiera on zamierzony kształt. W ten sposób ingerujemy w przyrodę i tworzymy sztukę.

Świadome obcowanie z naturą to czysta przyjemność, ponieważ jesteśmy jej częścią i to przyroda często najwcześniej kształtuje naszą wrażliwość i wpływa na naszą estetykę.

– Tatusiu, a kiedy babcia w ciągu jednego sezonu sześć razy przesadza jeden kwiatek to to jest sztuka?
– Raczej polot artystyczny, córeczko



Pytania i zadania:

Wymień znane ci materiały, z których powstają rzeźby.

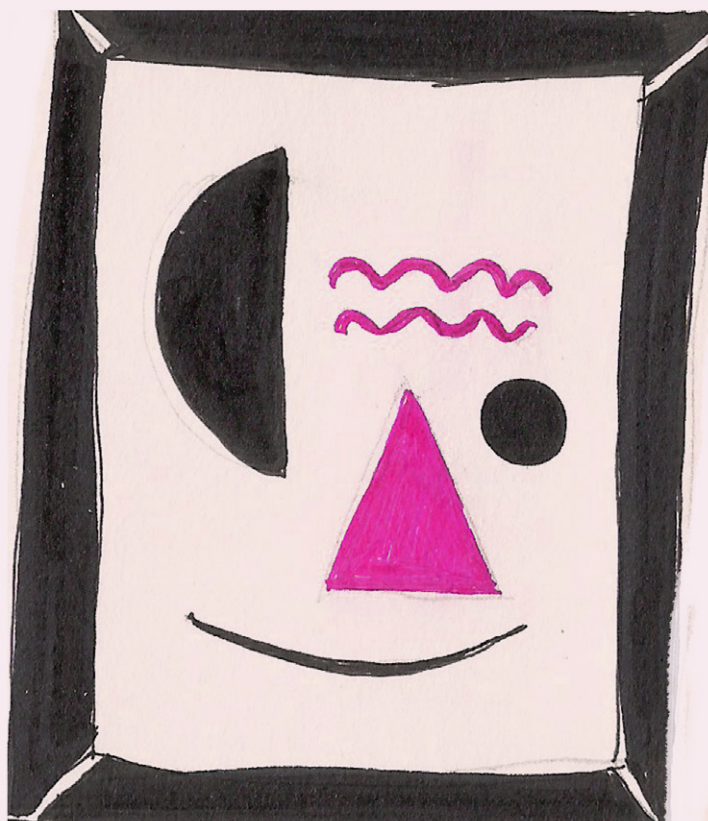
Zaprojektuj ogród marzeń, narysuj go na dużej kartce, możesz zaprosić kolegę, by zrobić to razem.

- Mamusiu, tata Julki powiedział, że nasze prace rozdmuchiwania wodnej farby, to sztuka abstrakcyjna. To znaczy, że mu się podobały czy nie podobały?
- Oleńko, abstrakcja w sztuce polega na pozbawieniu dzieła wszelkich cech oczywistych. Nie chodzi o to, żeby nam się to podobało lub nie. Chodzi raczej o to, by nas sprowokować do myślenia i wzbudzić emocje. W Abstrakcji artysta nie stara się naśladować natury. Często gdy patrzymy na jego dzieło często bardzo trudno jest określić, co miał na myśli.
- To po co takie dzieło, którego nikt nie rozumie?
- To świetne pytanie. Ludzie wszyskiemu chcą nadać jakiś sens i jakieś znaczenie, a przecież nie wszystko co nas otacza i co się dzieje wokół nas, da się wytłumaczyć i zrozumieć. Dlatego sztuka abstrakcyjna zawsze zostawia pytanie: po co i dlaczego?

Pytania i zadania:

Opisz własnymi słowami, czym jest abstrakcja?

Dobierzcie się w pary artystyczne, namalujcie swoje obrazy abstrakcyjne, wymieńcie się nimi i zatytułujcie prace swoich kolegów. Spróbujcie coś opowiedzieć o nazwanych obrazach.



Emilka



Emilka była małą dziewczynką. No może nie tak małą, w końcu miała już 8 lat. Mieszkała w dużym mieście, razem ze swoimi rodzicami i pieskiem Frankiem, którego bardzo kochała. Gdyby tylko mogła, całe dni chodziłaby z nim na spacer i bawiła się z nim. Był to jej wierny przyjaciel – spędzali razem każdą chwilę. Nawet w nocy spali w jednym łóżeczku, co nie bardzo podobało się mamie i tacie Emilki. Kiedy kładli dziewczynkę spać, zabierali Franka i zanosili go do jego postania. Ten jednak już po paru chwilach z powrotem był w łóżku Emilki. Wchodził pod kołdrę i przytulał się do niej. Tak spali co noc, razem przeżywając niesamowite przygody w krainie snów. Byli piratami na wzburzonym oceanie, księżniczką i księciem, którzy mieszkali w wielkim zamku, a także agentami do spraw specjalnych, którzy rozpracowywali niebezpieczne gangi. Te sny pochłaniały ich tak bardzo, że kiedy któryś z rodziców przychodził budzić dziewczynkę do szkoły, ta wcale nie chciała wstawać. Przewracała się z jednej strony na drugą i prosiła o jeszcze minutkę, dwie minutki... W końcu wstawała i zaspana człapała do łazienki, gdzie myła ząbki i buzię. I robiła to bardzo dokładnie, bo musicie wiedzieć, że Emilka była bardzo dokładną dziewczynką. Przykładała się do wszystkiego co tylko robiła.

Kiedy rysowała obrazek starała się, żeby rysowana przez nią postać czy przedmiot wyglądały zupełnie tak, jak w rzeczywistości. Jeśli składała swoje ubranka, to wszystko musiało być bardzo równo ułożone w szafie, wszystko według kolorów – na górze białe rzeczy, potem różowe, niebieskie, szare i czarne. Nosła

rzeczy tylko w takich barwach, ponieważ były to jej ulubione. Czasem zdarzało się, że babcia albo ktoś inny z rodziny kupował jej na przykład zieloną sukienkę. Oczywiście cieszyła się bardzo z prezentu, bo jak każda dziewczynka lubiła dostawać prezenty, a tym bardziej ubranka, ale ta rzecz nie należała do jej ulubionych do noszenia. Jednak nie chcąc sprawić nikomu przykrości, zakładała ją od czasu do czasu.

Emilka była też pilną uczennicą. Najbardziej lubiła matematykę i plastykę. Dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie – mogła liczyć całymi dniami! Często nawet sama wymyślała sobie zadania, żeby móc poćwiczyć. Robiła działania na bardzo dużych liczbach – tak dużych, że często nawet nie potrafiła ich przeczytać. Na plastyce dawała się ponieść fantazji i malowała niestworzone rzeczy – pieska, który zamiast ciała miał chmurkę, a zamiast ogona błyskawicę albo dżdżownicę jeżdżącą na deskorolce albo latającą hulajnogę, na której babcia jeździła do sklepu. Bo musicie wiedzieć jeszcze jedną rzecz – Zosia bardzo kochała swoją babcie i nie wyobrażała sobie wakacji w innym miejscu, niż w jej domku na wsi. To tam mogła całe dni biegać z Frankiem po okolicznych łąkach, polanach i lasach. Pluskała się w pobliskim strumyku (ale tylko kiedy dziadek stał przy brzegu) oraz podkradała jabłka z sadów sąsiadów. Bardzo chętnie pomagała babci w kuchni – razem przyrządzały ciasto drożdżowe, doły krowę oraz cesały konia. Emilka była jeszcze zbyt mała, żeby móc na nim jeździć, chociaż bardzo tego chciała. W swoich snach często dosiadała Płomyczka i trzyma-

jąc Franka między nogami, mknęła przed siebie. W ten sposób zwiedziła całą Europę – była w Berlinie przy bramie Brandenburskiej, w Paryżu pod wieżą Eiffla, a także w Rzymie w Kolozeum. Przy okazji odwiedziła również Papieża, z którym napiła się popołudniowej herbatki.

Wakacje zbliżały się wielkimi krokami, tak więc Emilka z niecierpliwością odliczała dni do kolejnej wizyty u dziadków. Podczas rozmów telefonicznych z babcią opowiadała jej o swoich planach. Na jej liście było między innymi: malowanie starej szafy, która stała w stodole, koszenie trawy na siano, a także sadzenie kwiatków w ogródku. Babcia śmiała się tylko, słysząc coraz to nowe pomysły swojej wnuczki. Bardzo ją kochała, a że była to jej jedyna wnuczka, to rozpieszczała jak tylko mogła. Kiedy do niej przyjeżdżała, zawsze wieczorami chodziły na długie spacery po okolicy i opowiadała jej różne historie ze swojej młodości. Emilkę najbardziej interesowały te z czasów wojny. Bała się ich bardzo, ale były najciekawsze. Podziwiała babcie za odwagę i często wyobrażała sobie, jak mała babcia biegnie po ulicy, a obok niej przelatują pociski wystrzelwane z pistoletów, a za rogiem wybucha bomba. Oczywiście tak nie było, ale bujna wyobraźnia Emilki dorabiała coraz to nowe historie. Po tym jak z rodzicami obejrzała serial „Czterej pancerni i pies”, wyobrażała sobie, że jedzie z małą babcią czołgiem, a Franek był ich Szarikiem. Innym razem widziała jak babcia skacze z samolotu ze spadochronem, a za kolejnym jak babcia rozbraja tajne szyfry. Nie było dla niej większego bohate-



ra niż babcia – potrafiła wszystko! Od robótek ręcznych, przez gotowanie, aż po strzelanie z karabinu. Takiej babci wszyscy mogli jej tylko pozazdrościć.

Wreszcie nastał ten dzień – koniec roku szkolnego. Emilka z dumą odebrała swoje świadectwo oraz dyplom, na którym sama Pani dyrektor złożyła jej gratulacje za bycie najlepszą uczennicą w klasie. Jako nagrodę dostała książkę „W czarodziejskiej krainie jednoroźców”. Miała zamiar ją przeczytać jak najszybciej, żeby nie zabierać jej na wieś do dziadków, bo tam nie ma czasu na czytanie, jest tyle rzeczy do zrobienia! Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej dziadek powiedział, że urodził się im mały źrebaczek i że jak przyjedzie, to będzie już wystarczająco duży, żeby mogła na nim pojeździć. A w nagrodę za swoje osiągnięcia w szkole, Emilka mogła wymyślić dla niego imię. No i to było dopiero wyzwanie! Wypisała sobie całą listę imion, które mogłaby nadać konikowi i postanowiła, że przeczyta mu je wszystkie i zobaczy, które z nich mu się spodoba. Bo na pewno któreś się spodoba! Ona sama nie mogłaby mieć na imię inaczej niż Emilka, bo pozostałe imiona jak Basia czy Krysia nie podobają się jej aż tak bardzo. Franek uważa podobnie, bo kiedy zapytała go czy lubi swoje imię, ten odszczerkał radośnie i zamerdał ogonem. Wiedziała, że to potwierdzenie jej słów.

W piątek zaczęła lekturę swojej nagrody. Czytała do bardzo późna, aż wreszcie mama poprosiła ją, żeby zgasła światło i poszła spać, bo będzie bardzo zmęczona. Przytuliła więc swojego

pieska i zasnęła. Śniło jej się, że jedzie sama pociągiem. Nie wiedziała za bardzo gdzie. Patrzyła przez okno, a nogi trzymała oparte o starą, dużą walizkę. Na głowie miała wiklinowy kapelusz, a w ręku trzymała bukiet świeżych kwiatów. Nagle pociąg zaczął mocno hamować, a ona spadła z siedzenia na którym siedziała. Podniosła się szybko z podłogi i otrzepała kolana. Poprawiła nakrycie głowy i spojrzała przez okno. Zatrzymali się w środku lasu, a dookoła były tylko drzewa i nic więcej. Nagle dostrzegła między nimi jakiś ruch. Zmrużyła oczy i przyjrzała się uważniej. Coś tam się ruszało i zmierzało w jej kierunku. Z każdą sekundą było coraz bliżej i bliżej... Aż wreszcie dostrzegła i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przed nią stało coś, czego nigdy nie spodziewała się zobaczyć. Był to pół człowiek, pół koń, a przez jego ramię przewieszony był łuk i strzały. To był centaur! Zawsze myślała, że istoty te żyją tylko w bajkach i mitologii, a tutaj... Patrzył na dziewczynkę, a ona patrzyła na niego. Trwali tak bez ruchu przez kilka sekund, aż wreszcie podniósł rękę w jej kierunku i zawołał „Pomóż nam Emilko... Pomóż nam...”. Wydawało jej się, że się przesłyszała, więc czym prędzej chwyciła za uchwyt okna, starając się je otworzyć, ale pociąg był tak stary, że okna były zaklinowane. W tym momencie maszyna zaczęła ruszać powoli do przodu. Emilkę ogarnęła panika. „Muszę mu pomóc! On mnie potrzebuje...” mówiła sobie w myślach, szarpiąc się z oknem. Na próżno – mimo całego wysiłku, który włożyła, ani drgnęło. Podniosła wzrok i zobaczyła, że centaur zniknął. Rozejrzała się dookoła – nic. I w tym momencie okno opuściło się na dół, a ona wyjrzała z jadące-



go pociągu. W tyle też go nie było... Wiatr, który zerwał się przez pędzący coraz szybciej pociąg, zrzucił z jej głowy kapelusz i uniósł w głąb lasu – w tym momencie Emilka poczuła na twarzy coś mokrego. Obudziła się i zobaczyła, że to Franek liże ją po twarzy. Uśmiechnęła się do niego, zapominając o swoim śnie i zaczęła go głaskać i szarpać się z nim, jak to mieli w zwyczaju swoich zabaw. Potem do pokoju weszła mama i powiedziała, żeby Emilka szybko pakowała swoją walizkę, bo zmieniły się im plany i do babci pojedą już dzisiaj. „Huuuuraaa! Słyszysz Franek? Już dzisiaj jedziemy na wieś!” – krzyknęła na cały pokój, a piesek zaczął szczekać radośnie i kręcić się w kółko. Pora rozpocząć przygodę!

Dojechali na miejsce około południa. Zosia nie czekając, aż tata zatrzyma całkowicie samochód, otworzyła drzwi auta, odpięła pasy i razem z Frankiem wyskoczyli jak z procy. Dziadkowie czekali na nich na werandzie. Uściskali mocno swoją ukochaną wnusię i pogłaskali jej pieska. Dziewczynka zaczęła opowiadać o tym co widzieli po drodze – że po łące biegało stado koni, a obok pały się krowy i że mijali dużo ciężarówek, które co jakiś czas trąbiły do niej, kiedy widziały, że macha im przez okno. Dziadkowie słuchali uważnie, uśmiechając się i co jakiś czas dodając: „O! Naprawdę? A to ciekawe!”, a w tym czasie rodzice wypakowywali z bagażnika kolejne rzeczy. Postanowili zostać razem z Emilką kilka dni na wsi, żeby odpocząć od miejskiego zgiełku i szumu. Bo gdzie można lepiej wypocząć, jak nie na wsi, gdzie nie ma spalin i dostępu do internetu? Po-

prosilili swoją córkę, żeby pomogła im zanieść bagaże do domu, po czym usiedli przy kuchennym stole razem z dziadkami i napiли się kawy. W tym czasie Emilki już nie było w domu. Biegała po okolicznych łąkach i sadach, ścigając się razem z Frankiem, kto szybciej dobiegnie do pobliskiego drzewa. A że drzew było naprawdę dużo, to nie mogli się zdecydować o które chodzi, więc biegali i biegali bez końca, aż wreszcie padli ze zmęczenia pod jednym z nich i zasnęli.

Nie wiadomo ile czasu spali, bo kiedy się obudzili, ciągle świeciło słońce. Emilka przetarła zaspane oczka i usiadła na trawie. Rozejrzała się dookoła. Nie bardzo wiedziała gdzie jest, pierwszy raz znajdowała się w tej okolicy. Podniosła się i otrzepała swoją sukienkę w kwiaty. Franek węszył dookoła, nastawiając uszu. No i co teraz? Jak znajdzie drogę do domu? Już miała się rozpłakać, kiedy w pobliskich krzakach coś zaszeleściło. Piesek podniósł głowę, spojrzał w niewidzialny punkt przed nimi i... wystrzelił jak strzała w nieznanym kierunku. Emilka szybko zaczęła krzyczeć:

*FRANEK. FRANEK! Chodź tu!
Wracaj!*

Ale na próżno. Zaczęła więc biec w kierunku, gdzie zniknął pies. Im dłużej szła, tym bardziej wchodziła w las. Robiło się ciemno i zimno, a ona ciągle nawoływała swojego psa. Była na



niego zła, jak mógł zostawić ją samą i pobiec za jakimś zającem albo cokolwiek było w tych krzakach.

W pewnym momencie usłyszała ruch, gdzieś za sobą. Odwróciła się, ale nic nie dostrzegła. Po chwili ten sam odgłos dobiegł z drugiej strony – nadal nic nie zobaczyła. Dźwięk zaczął dobiegać do niej z różnych stron. Dziewczynka bała się coraz bardziej. Usiadła na ziemi, skuliła nogi pod brodę i zaczęła cichutko płakać. Chciała, żeby była przy niej teraz mama albo tata. Tak bardzo się bała – nie tylko o siebie, ale też o Franka. A co jeśli to wilki? Albo lwy? Tak! To na pewno lwy... Zamknęła przerażona oczy i czekała. Usłyszała, że coś idzie w jej kierunku, jednak nie miała na tyle odwagi, żeby spojrzeć co to. Poczula, że to coś zatrzymuje się przed nią. Minęło kilka sekund i nic się nie stało. Powoli otworzyła jedno oko i spojrzała przed siebie. Naprzeciwko niej siedział mały jelonek i... uśmiechał się do niej. Nie, to nie możliwe, przecież jelenie się nie uśmiechają! „Cześć Emilko, czekaliśmy na Ciebie” – powiedział. Dziewczynka nie wierzyła własnym uszom. Gadający jelonek! „Nie bój się, nic Ci nie zrobimy” – nie zrobimy? Zosia rozejrzała się dookoła. Otaczało się mnóstwo zwierząt – króliki, lisy, wilki, wiewiórki a nawet... niedźwiedź. Nie mogła w to uwierzyć, to na pewno jej się zdaje! „Wsiadaj na mnie, zawiozę Cię w bezpieczne miejsce i wszystko wyjaśnię. Franek już tam na Ciebie czeka” – powiedział jelonek i nadstawił grzbietu, żeby mogła bezpiecznie się na niego wspiąć. Była przerażona, ale posłuchała zwierzęcia i wspięła się na niego. Powoli ruszyli przed siebie – przed nimi szedł wilk i lis, a cały przemarsz zamykał niedźwiedź, któ-



ry raz po raz pomrukiwał radośnie. Zosia trzymała się mocno szyi jelenia, ponieważ bała się, że zaraz spadnie. Wydawało się jej, że idą od kilku godzin, aż wreszcie doszli do jaskini, której wejście zastawione było wielkim głazem. Miś, który do tej pory szedł na końcu, przesunął się na początek i odepchnął kamień. Zwierzęta po kolei weszły do jaskini, niknąc w jej mroku. Serce dziewczynki zaczęło bić mocniej – znowu zaczęła się bać, kiedy z oddali usłyszała znajome szczekanie. To Franek! W tym momencie jeleni ruszył w stronę wejścia do groty.

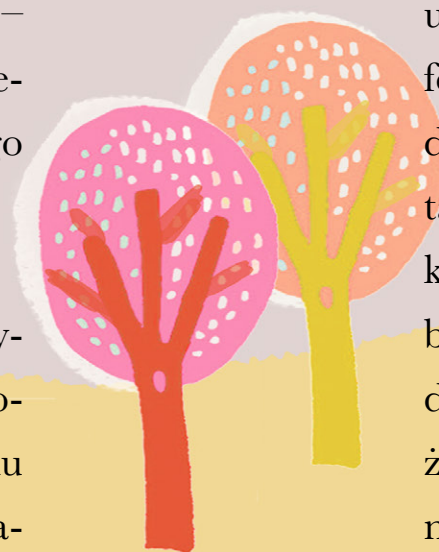
To co ukazało się oczom Emilki po wejściu do jaskini, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Znalazła się w zupełnie innym świecie, a jej oczom ukazała się magiczna kraina, gdzie z wodospadów płynęła różowa woda, a w powietrzu latały kolorowe motyle. Dziewczynka otworzyła szeroko buzię ze zdziwienia i zsunęła się z grzbietu jelonka. To było niesamowite! Nie miała nawet pojęcia, że taka kraina istnieje. Nagle poczuła, że kto wskakuje na nią – spojrzała w dół i zobaczyła... Franka! „Jesteś, jesteś! Nareszcie dotarłaś! Ileż można czekać!” – krzyczał radośnie. *Jak to, Franek mówi?!* Zdawało się, że z każdą sekundą wprawiała się w coraz większe osłupienie. Piesek biegał dookoła niej i wesoło merdał ogonkiem. „To Ty wiesz co to za miejsce?” zapytała niepewnie, ciągle nie mogąc uwierzyć w to wszystko, co się koło niej dzieje. „Oczywiście! To *Magikolandia*, kraina w której panuje szczęście i miłość!” odpowiedział malutki pies i zamerdał ogonem. „Wszyscy tu na Ciebie czekali! Chodź za mną, nie ma czasu do stracenia”

dodał i ruszył do przodu, a pozostałe zwierzątka, które do tej pory stały dookoła nich, rozstąpiły się.

Emilka szła przed siebie, nie wiedząc w którą stronę patrzeć. Takich cudów nie widziała nigdy w życiu. Z ziemi wyrastały różnokolorowe kwiatki, a spomiędzy nich wystawały różnokolorowe lizaki. Różowa woda wcale nie była wodą, a oranżadą, natomiast białe chmurki na niebie to wata cukrowa. Dookoła niej przechadzały się żyrafy, koty, tygrysy, kury, kaczki, zebry, ptaki kiwi, a po drzewach skakały i śmiały się małpki. Jak to możliwe, że te wszystkie zwierzęta się tutaj znajdowały i nikt o tym nie wiedział?! Chciała o to wszystko zapytać swojego psa, ale ten ciągle znajdował się kilka kroków przed nią. Kiedy próbowała do niego podbiec, ten również biegł, tak więc odległość między nimi pozostawała ciągle taka sama. Wreszcie dotarli – znajdowali się przed wielkim zamkiem, którego bramy strzeżli... *centaurowie!* Wyglądali tak samo jak ten, którego widział w swoim śnie!

Franek wreszcie zwolnił i wskoczył jej na ręce. Razem ruszyli w stronę wejścia do zamku. Na ich widok magiczne stworzenia wyprostowały się i popchnęły wrota do pałacu. W środku było wyjątkowo ponuro i ciemno. Z ust wylatywały obłoczki zamrzniętej pary wodnej. Emilka wzdrygnęła się. W jej cienkiej, letniej sukieneczce było wyjątkowo zimno. Kiedy znalazła się pośrodku wielkiego holu, drzwi wejściowe zatrzasnęły się. Zostali tylko we dwójkę – ona i Franek. Naprzeciwko nich znajdowały się długie, szerokie schody. Zaczęli po nich wchodzić. Po

obu stronach wisały wielkie portrety przedstawiające jednorożce. Miały kolorowe grzywy, a pośrodku ich głów widniał długi i błyszczący róg. W tle zawsze znajdowała się tęcza. Jak to się stało, że wizerunki tak pogodnych i radosnych stworzeń znajdowały się w tak zimnym i opuszczonym miejscu? Przecież to niemożliwe... No i jak w takiej krainie, która była wszystkim co najśłodsze i najpiękniejsze mogło stać takie ponure zamczysko? Kiedy znaleźli się u szczytu schodów zauważyli, że znajdują się w sali tronowej. Była ona całkowicie pusta – przez jej środek biegł tylko wyblakły i zakurzony różowy dywan. Na jego końcu znajdował się tron, na którym ktoś siedział. Postać miała założony kaptur, tak więc nie było widać kim jest. Po jego prawej stronie siedziała małpka, który czytała opasłą książkę. Kiedy usłyszała odgłos kroków Emilki, pociągnęła za rękaw postaci na fotelu. Ta podniosła głowę i głośno wciągnęła powietrze. „Podejdz dziecko, podejdz. Pozwól Królowi Cię zobaczyć” wyszeptowała głośno małpka. Emilka niepewnym krokiem ruszyła w ich kierunku, mocniej przyciskając Franka do swojej piersi. Kiedy była zaledwie parę metrów od nich – zatrzymała się. Postać siedząca na tronie ściągnęła kaptur. Jej oczom ukazał się jednorożec, taki sam jak na obrazach, które wisały w holu tylko, że... nie miał rogu! Jego sierść nie była śnieżnobiała, a szara. Jedyne w czym przypominał inne jednorożce to bujna, kolorowa grzywa. Kiedy zaczął iść w kierunku Emilki, dziewczynka cofnęła się o kilka kroków. Był on prawie trzy razy większy od niej. „Franku, uciekajmy stąd, boję się...” wyszeptowała na uszko do swojego psa. „Nic się nie bój, nie robi Ci krzywdy” odpowiedział. Jed-



norożec minął ich i zniknął za drzwiami, które znajdowały się po ich lewej stronie. „Idźcie za nim” powiedziała małpa.

Pośrodku pokoju w którym zniknął jednorożec znajdował się wielki kamień. W jego środku coś tkwiło... Było bardzo błyszczące i długie. Emilka musiała się bardzo dokładnie przyjrzeć, żeby odgadnąć, że to był... róg! Róg jednorożca! „Byłem bardzo młody i głupi” zaczął swoją historię Król Magikolandii. „Nie słuchałem rodziców, nie chodziłem do szkoły. Uznałem, że po co mam się uczyć, przecież będę królem, wszyscy będą mnie słuchać. Zamiast tego wolałem chodzić z kolegami nad rzekę, skakać z wodospadu i latać wśród cukrowych chmurek. Kiedy już zostałem królem, nie słuchałem mojego mądrego małpiego doradcy, który podpowiadał mi jak zarządzać królestwem, jakie podejmować decyzje. Zamiast tego wyprawiałem bale na których piliśmy gazowane napoje i objadaliśmy się cukierkami. Pewnego dnia do naszej krainy zakradły się złe trolle – musisz wiedzieć, że to nasi wrogowie, którzy od wieków starali się przejąć naszą krainę, ale moi przodkowie dzielnie jej bronili. Podczas jednego z królewskich jarmarków, które organizowałem, ukryli pod tarczą do rzucania kamień. Jak zawsze, starając się jak zawsze popisać przed podwładnymi. Wziął więc długi rozbieg i... wbiłem swój róg w środek tarczy. Wiatom nie było końca! Wszyscy wykrzykiwali moje imię i bili brawo. Jednak ja już wtedy wiedziałem, że coś jest nie tak. Utknąłem i nie mogłem się ruszyć! Próbowałem wyciągnąć swój róg raz i drugi – na marne! I w tym momencie trolle zaatakowały. Była to długa i zacięta walka, na którą moi poddani nie byli przygotowani.

Jednak udało nam się wygrać. Aby uwolnić mnie z kamienia był tylko jeden sposób – odciąć róg. Nie było innego wyboru. Wezwaliśmy bobra drwala, który swoją piłą odciął mój magiczny róg. I stało się najgorsze – z naszej krainy zniknął dawny blask, a na niebie nie było już tęczy. Straciłem swoje wszystkie magiczne mocne, które od lat towarzyszył jednorożcom. Najwięksi uczeni w kraju, sowy i małpy, latami szukały rozwiązania, jak mogę wydobyć swój róg. Na próżno. Wreszcie, kilka dni temu znaleźli rozwiązanie. Pewna legenda głosi, że pojawi się pewna bardzo mądra dziewczynka, która swoją wiarą w siebie i skromnością uratuje całe nasze królestwo. Tu chodzi o Ciebie, Emilko. Jesteś jedyną osobą, która jest nam w stanie pomóc!” zakończył swoją historię jednorożec. Dziewczyna stała przez kilka chwil, nie wierząc w to co słyszy. Jak ona, malutka dziewczynka, może wydobyć róg wbity w kamień? Przecież to niemożliwe! Ma takie malutkie rączki, a poza tym nie ma wystarczająco siły. „Panie jednorożcu, ale... ale ja nie umiem! Nie potrafię. Jestem tylko malutką dziewczynką, która nie ma tyle siły, żeby wydostać pański róg z kamienia! Mówił Pan, że próbował już najsilniejsze tygrysy i goryle i nie dały rady. Jak ja mogłabym...” – zapytał cichutko Emilka. „Przynajmniej spróbuj, proszę. W Tobie moja jedyna nadzieje!” poprosił władca Magikolandii. Dziewczynka powoli zbliżyła się do rogu i wyciągnęła do przodu drżące ręce. Chwyciła za róg i mocno pociągnęła. Raz, drugi i trzeci... „To na nic, nie dam rady” wyszeptwała. „Uda Ci się, Emilko! Wierze w Ciebie! Ty też uwierz! Pomyśl o czymś przyjemnym!” krzyczał Franek. Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Pomyśla-



ła o najwspanialszych chwilach w swoim życiu. O wieczornym oglądaniu filmów ze swoimi rodzicami, wspólnych wyjazdach, o wakacjach u dziadków, o zasypianiu ze swoim pieskiem. Chwycała raz jeszcze za róg i... puuf! Róg wyszedł z kamienia z taką łatwością, jakby znajdował się w maśle, a nie kilku tonowym gładzie. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Udało jej się! Huraaa, huraaa! Podbiegła szybko do jednoroźca i przyłożyła róg do miejsca, w którym powinien się znajdować. Pokój wypełniła niesamowita jasność i ciepło, a po chwili wszystko było już inaczej. Komnata w której się znajdowała wypełniona była balonami, a pokój pokrywał wielki, pluszowy dywan. Sam Król też się zmienił – jego sierść była znowu biała, grzywa i ogon puszyste, oczy zaczęły się błyszczeć, a na środku jego głowy znajdował się jak dawniej piękny, złoty róg. Jednorożec zarżał radośnie raz i drugi, przebierając kopytami w powietrzu.

Kiedy wyszli przed pałac, zebrane było przed nim całe królestwo, a jego poddani wiwatowali „Emilka! Emilka!”. Dziewczynka była bardzo wzruszona, nie wiedziała co powiedzieć. Pogłaskała swojego pieska po głowie. W tym momencie Król jednorożec wystąpił do przodu i zakreślił po niebie łuk swoim rogiem. Wszystkie oczy skierowały się w tamtym kierunku. Minęło parę chwil a na błękitnym niebie pojawiła się ona – tęcza! Wszyscy cieszyli się i radowali. Hura! Niech żyje król! Niech żyje Emilka! Wtem z tłumu wystąpiły małe myszki, które nosiły coś na swoich grzbietach. To był kapelusz, który Emilka miała na głowie w swoim śnie! Nie mogła w to uwierzyć. Po-

dziękowała bardzo stworzonkom i założyła go na głowę. W tym momencie poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Kiedy odwróciła się, żeby zobaczyć kto to...

Dziewczynka leżała na ziemi, a nad nią stały jakieś osoby. Nie widziała dokładnie kto to, bo oślepiły ją promienie słoneczne. Usiadła i zobaczyła, że byli to jej rodzice i dziadkowie! Obok nich czekał głośno Franek. „Och, moje dziecko! Wiesz jak się martwiliśmy! Gdyby nie pies, w życiu byśmy Cię nie znaleźli!” powiedziała mama, tuląc ją mocno do piersi. „Mamo! Tato! Ale ja musiałam pomóc jednorożcami odzyskać swój róg! Naprawdę! Franek też był ze mną! Właściwie to on mnie do niego zaprowadził...” odpowiedziała szybko Emilka. „Słuchajcie, chyba za długo leżała na tym słońcu. Zanieśmy ją do domu, zrobię jej zimny kompres” powiedziała babcia. Tata wziął dziewczynkę na ramiona i ruszyli w stronę gospodarstwa dziadków. Emilka wiedziała, że rodzice jej nie uwierzą, bo przecież nie miała żadnych dowodów na to, że naprawdę była w Magikolandii. Spojrzała na pieska, który kroczył zaraz obok nich i... zobaczyła, że niesie w pysku wiklinowy kapelusz! Ten sam który miała we



śnie i ten, który przyniosły jej myszki! A więc to wszystko była prawda! Uśmiechnęła się i wtuliła w ramiona taty. Nie będzie im tego tłumaczyć, to przecież nic nie zmieni. Ważne, że ona i Franek wiedzą, jak było naprawdę.

Podsumowanie

Jeśli w coś bardzo wierzysz, to dasz radę to zrealizować! Wierz we własne siły, ale nie przechwalaj się nimi zbytnio. Pozwól sobie marzyć. Staraj się przykładać do powierzonych zadań – rób je najdokładniej jak potrafisz. To nic, jeśli czasem coś wyjdzie krzywo albo źle – następnym razem na pewno będzie lepiej!

Zadanie

Narysuj swój wymarzony świat, jaki by on był.
Co można zrobić, żeby było tak samo
w prawdziwym świecie?

Jeśli masz jakieś zwierzątko, pokazuj mu jak bardzo je kochasz – dbaj o nie, baw się z nim, sprawiaj, żeby było szczęśliwe. Jeśli nie masz żadnego zwierzątka, a masz rodzeństwo – możesz robić to samo z nimi. Nie tylko zwierzątko może być najlepszym przyjacielem – brat, siostra, mama czy tata również.



O chłopcu,

który chciał być
kapitanem na własnym statku

Poznałam kiedyś fantastycznego chłopca. To było na kilka tygodni przed jego ósmymi urodzinami. Przyszedł do mnie bardzo smutny, choć zupełnie nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego tak się czuje. Przecież wszystko było świetnie. Dobrze się uczył, miał wielu kolegów, właściwie wszyscy go lubili. Patrząc na niego, nikt by nie pomyślał, że ma jakiś powód do smutku. I wiecie co, on też myślał, że go nie ma, a jednak czuł w sobie jakiś taki niepokój.

Ale może na początek trochę wam o nim opowiem. Bo w końcu fajnie jest znać kogoś, kogo historię się poznaje, prawda?

Maciek – bo tak miał na imię chłopiec, urodził się pewnego mroźnego zimowego dnia. Dnia bardzo wyjątkowego. Dlaczego? Wyobraźcie sobie, że był to dzień rozpoczęcia nowego roku. Maciek przyszedł na świat pierwszego stycznia. Fajna data, prawda? Można sobie wyobrazić, że co roku to właśnie z okazji twoich urodzin na całym świecie puszczają fajerwerki. Maćka mama zawsze, kiedy tylko słyszała wystrzały sztucznych ogni, żartowała: „Oho, już wszyscy wiedzą o twoich urodzinach, zaczyna się świętowanie”. Śmiali się z tego oboje, a Maciek z niecierpliwością czekał na tort niespodziankę, który robiła mu mama. Bo Maciek torty zawsze miał dwa – jeden w dniu, w którym się urodził, a drugi podczas urodzinowej imprezy.

Był najstarszy z rodzeństwa. Kiedy miał cztery lata został starszym bratem dla Matyldy, a dwa lata później dla Kacpra. Oj wesoło mieli w domu, kiedy całą trójką rozpoczynali zabawę. Kacper co prawda niewiele jeszcze rozumiał, ale i tak mogli się z nim bawić w chowanego.

To znaczy Maciek z Matyldą się chowali, a najmłodszy brat ich szukał. Śmiechu było co niemiara, kiedy trzy razy przechodził obok kanapy, nie zauważając wystających nóg Matyldy. Ale w końcu był malutki, więc można było mu wybaczyć.

Z Matyldą bywało różnie. Jak to z dziewczynami. Nie bardzo chciała się bawić samochodami, a Kacper był jeszcze na te zabawy za mały. Za to Matylda z chęcią czesała Maćka. „Zapłaszam do salonu flyzjeskiego” – mówiła, a wtedy Maciej siadał na jej różowym krzeselku i pozwalał rozczesywać sobie swoje blond loki. Oczywiście trwało to tak długo, dopóki starczało mu cierpliwości do siostrzanych pomysłów albo do momentu, kiedy Matyldzie nie zaplątała się szczotka w jego włosy. Ależ wtedy był krzyk i lament, a rodzeństwo od razu ruszało do kłótni. To właśnie wtedy do akcji musiała wkraczać mama, która jedną ręką trzymała Matyldę, która próbowała oddać bratu kuksańca, a drugą wyplątywała szczotkę z włosów Maćka. Bolało jak diabli. Komu choć raz wkręcił się grzebień czy szczotka we włosy, to wie doskonale, o czym mówię.

Matylda miewała różne pomysły, czasami chciała, żeby Maciek ubrał się w sukienkę i udawał księżniczkę, a on choć tego nie cierpiał, zgadzał się. W końcu mama zawsze mu powtarzała: „Jesteś starszy, to ustąp”.

Jakoś ciężko było mu się z tym zgodzić. Bo dlaczego to on miał ustępować? Ale, kiedy to robił, zawsze dostawał od mamy ulubione lody i najlepsze na świecie batoniki, więc w sumie nie narzekał.

Maciek mieszkał oczywiście jeszcze z mamą i tatą i ukochaną babcią. Babcia była strasznie śmieszna, czasami się przebierała w różne dziwne stroje – jakiś stary płaszcz i wygrzebaną głęboko z szafy czapkę i udawała czarownicę. Innym razem zakładała świecącą sukienkę i mówiła, że jest czarodziejką i spełni dzisiaj ich trzy marzenia. Maciek zawsze miał jedno marzenie – żeby babcia zrobiła mu placuszki z jabłuszkami, bo nikt na świecie nie robił lepszych. Uwielbiał, gdy polewała je syropem klonowym lub zwyczajnie posypywała cukrem pudrem. „Babciu, mógłbym je jeść na śniadanie, obiad i kolację” – mruczał, kiedy babcia nakładała mu kolejną porcję.

Jednak nie zawsze babcia – czarodziejka spełniała jego prośbę, bo jak na przykład Matylda prosiła o to, żeby babcia pooglądała z nią bajki, to nie było czasu na placuszki... – Następnym razem, kochanie – mówiła do Maćka i kładła się z Matyldą na łóżku, włączając jakieś dziewczynskie bajki, które Maćka kompletnie nie interesowały.

Maciek szedł wtedy do swojego pokoju, było mu smutno, ale kiedy zaczynał układać statki kosmiczne ze swoich ulubionych klocków od razu robiło mu się różnie. Byleby tylko Kacper nie przyszedł, bo on wszystko niszczył. „Taki wiek” – mówiła mama, a Maciek myślał: „Eh, taki urok małego brata”.

Czasami, kiedy miał dość pomysłów siostry i wszędobylskiego brata, Maciek wspominał czas, kiedy był zupełnie sam. Mało pamiętał, w końcu, kiedy urodziła się Matylda, miał tylko cztery lata, ale to wtedy rodzice tylko jemu czytali książki, mama miała czas go przytulić, nie musiał nikomu ustępować i godzić się na różne rzeczy. Na przykład na

zjedzenie obrzydliwej kalafiorowej, której nie cierpiał, a którą Matylda lubiła i chciała na obiad, więc, jak to mama mówiła: „nie miał wyjścia”, musiał zjeść. Teraz już rzadko robiła jego ukochaną pomidorówkę, zresztą podobno Kacper miał jakieś uczulenie na pomidory.

Babcia zawsze powtarzała Maćkowi, że odkąd ma rodzeństwo musi pamiętać, że wszystkim powinien się dzielić, że nie jest już sam i teraz powinien dbać o każdego. Chłopiec nie lubił sprawiać kłopotów, nie lubił, kiedy mama się smuciła, gdy on próbował jej wytłumaczyć, że nie zaczął kłótni z Matyldą, tylko jego siostra zabrała mu kredki, kiedy on chciał rysować. Nie chciał też denerwować taty. Wiedział, że on wraca zmęczony z pracy, wołał odpuścić Matyldzie, posprzątać po niej bałagan, byleby tata nie był zły i żeby on mógł się do niego przytulić. Wszyscy zawsze mówili: „Jaki grzeczny chłopiec z tego Maciusia, wy to macie z niego prawdziwą pociechę”. Wtedy mama targała go po włosach, a tata z dumą przytulał: „Moja krew” – tłumaczył. Maciek za bardzo nie rozumiał o co chodzi z tą krwią, ale bał się zapytać, poza tym brzmiało to całkiem dobrze, więc jakoś specjalnie się nad tym nie zastanawiał. A kiedyś mama mu wytłumaczyła, że łączą ich więzy krwi, czyli, że płynie w nim cząstka mamy i taty, ale też babci i nawet dziadka, którego nie zdążył poznać.

Och, to miały być wyjątkowe wakacje. Ostatnie przed szkołą! W końcu pożegnanie z przedszkolem i coś nowego, nareszcie. Maciek nie mógł się doczekać. Codziennie pytał mamę, czy już pójdą kupić mu tornister, czy będzie mógł wybrać sobie piórnik, czy długo jeszcze do końca wakacji. Te, jak nigdy wcześniej dłużyły mu się nieznośnie. Na szczęście czekał go fajny wyjazd z rodzicami nad morze. Maciek uwiel-

biał ganiać się z falami. Zawsze organizował zawody dla siebie, siostry i brata – biegali jak oszaleli, uciekając przed wodą, byleby tylko nie dotknęła ich stóp. Maciek był najszybszy, choć tata mówił, że to dlatego, że jest najstarszy, ale co tam, on i tak cieszył się z wygranej.

Smuciło go tylko, gdy mama mu tłumaczyła, że jest już duży, zaraz idzie do szkoły i pewne rzeczy powinien rozumieć. Te rzeczy, to na przykład, gdy szli na gofry, a Maciek miał ochotę na lody. Nikt go jednak nie słuchał, bo przecież Matylda i Kacper mają katar, jest chłodno, więc rodzice zdecydowali, że lody należy przełożyć na inny dzień, a teraz mogą zjeść gofry:



- Ale ja nie chcę gofrów, chcę lody – mówił Maciek.
- Kochanie, ale zrozum, że nie możemy iść na lody. Maluchy są przeziębione – tłumaczyła mu mama.
- Ale ja nie jestem chory! Dlaczego nie mogę lodów? – złościł się.

– Na lody pójdziemy, kiedy indziej, wybierz jakiego chcesz gofra, zobacz jest twoja ulubiona polewa truskawkowa – nie dawała za wygraną mama.

– Nie chcę gofra, chcę lody – tupął nogą Maciek.

– Dość tego – tata złapał go za rękę i wyprowadził. I nie, nie zabrał go na lody, kazał mu poczekać na zewnątrz do czasu, aż się uspokoi. Maciek się obraził. Nie zjadł nawet kolacji. „To niesprawiedliwe” – myślał, ale nie miał zupełnie pomysłu, jak to zmienić. Złościł się na siostrę i brata, wstydził się, bo myślał czasami, że wolałby, żeby ich nie było. W złości tak myślał, kiedy wszystko kręciło się wokół nich, a on nie miał nic do powiedzenia.

Na szczęście przyszedł kolejny dzień i wszyscy razem poszli rano na plażę. Nikt nie wracał do tematów lodów i niezjedzonej kolacji. Właściwie Maciej już też o tym nie pamiętał. Cieszył się, że znowu będzie mógł pobudować zamki z piasku, poskakać w wodzie i powygłupiać się z tatą. Było super! Wszyscy świetnie się bawili, mama śmiała się z ich wygłupów i pomagała zbierać kamyczki, którymi przyozdabiali zrobionego z piasku żółwia.

– Na co macie dzisiaj ochotę – spytała mama.

– Na gokarty! – wykrzyknął Maciek. Pamiętał, że rodzice obiecali, że podczas wakacji nad morzem, choć raz będzie mógł na nich pojeździć.

Spojrzał na siostrę, której twarz wykrzywiła się w ten dobrze znany mu grymas. „O nie, tylko nie to” – myślał gorączkowo, ale na nic się to zdało. Po policzkach Matyldy już leciały łzy jak grochy.

– Co się stało, kochanie? – spytał tata.

– Bo ja, bo ja... – Matylda pochlipywała – bo ja chciałam iść na te kucyyykiiii – i zaczęła płakać.

– No już nie płacz – wtrąciła się mama – pójdziemy i na kucyki, prawda Maciuś? – szukała w jego oczach akceptacji tego pomysłu. Maciek stał jednak, nic nie mówiąc. Matylda płakała tak, jak kiedyś, gdy zgubiła swoją ulubioną maskotkę. Na szczęście maskotka się znalazła, wpadła po prostu za łóżko.

– Maciek – to może dziś kucyki, a jutro gokarty? Co ty na to? – spytał tata. Chłopiec się nie odzywał. Czuł, że do oczu napływają mu łzy, zacisnął pięści z całych sił, żeby tylko się nie popłakać.

– Maciek? Powiesz coś? – zapytała mama. Odwrócił się od niej, nie chciał, żeby widziała, jak jest mu przykro, jak po raz kolejny czuje się oszukany.

– Zawsze tylko Matylda i Kacper, zawsze! – krzyknął i pobiegł przed siebie.

Nie oglądał się. Chciał uciec jak najdalej. – Niech sobie mają Matyldę i Kacpra, niech się nimi zajmują, ja sobie sam dam radę – szeptał po cichu do siebie, wycierając łzy. Chciał zniknąć. W końcu mama tyle razy mu ostatnio mówiła, że jest dużym chłopcem, że powinien ustępować rodzeństwu... Sam już zwątpił, czy to, co one chce jest w ogóle ważne. Kiedyś tata mu powiedział: – Synku, wiesz ile rzeczy ja bym chciał, a nie mogę... Próbował się dowiedzieć, dlaczego tata nie może, ale usłyszał tylko: – Jak dorośniesz, to zrozumiesz. Teraz, kiedy biegł po plaży myślał tylko o tym, że nie chce być dorosły! Bo jeśli on ma we wszystkim ustępować i nie robić tego, co by chciał, to po co?

Potknął się o wykopany dołek, prawie przewrócił. Nie chciał patrzeć za siebie, miał nadzieję, że nikt go nie goni. – I dobrze, niech so-



bie idą z Matyldą na te przeklęte plastikowe kucyki – mówił do siebie ze złością. Rozejrzał się i zauważył, że w miejscu, w którym się znalazł było już mniej ludzi. Pojedyncze parawany, cicho, nie to, co tam, gdzie chodził z rodzicami. Dużo dzieci, dużo ludzi, co chwilę przechodził pan, wołając: „Goorrącaaaa kukurydzaaaa” albo „Orzeeszkiiii w karmelu”, tu nie było ich słychać. Daleko musiał pobiec. Obejrzał się. Nikogo nie było, nie widział ani taty ani mamy. – Wiedziałem, że im na nie mnie w ogóle nie zależy – myślał na głos.

Usiadł na piasku pod wydmami, podkulił nogi, a brodę położył na kolanach. Patrzył w morze, wyobrażając sobie, że jest teraz na jednym ze statków i płynie gdzieś w nieznane.

– Na obiad poproszę pieczonego kurczaka i wielki gar pomidorowej – wydawał rozkazy, w końcu był kapitanem tego statku. Tutaj wszyscy go słuchali.

– A przed obiadem wszyscy wysprzątać swoje kajuty! – bawiło go bycie kapitanem. Jak to dobrze, gdy wszyscy robią, to co chcesz. Na śniadanie zażyczy sobie naleśniki z twarogiem, polane czekoladą. Kto by tego nie lubił – planował, przechadzając się po pokładzie. Świeciło słońce, było miło i przyjemnie, tylko w kącie siedział jeden z majtków, na oko bardzo smutny.

– Co się stało? – zapytał Maciek kapitan.

– Nie nic, już idę sprzątać – zerwał się na równe nogi majtek.

– Poczekaj chwilę, przecież widzę, że jesteś smutny – zatrzymał go kapitan.

– Bo jaaaa.... Bo jaaaa – zaczął majtek.

– Mów, o co chodzi? – kapitan Maciek spokojnie czekał na to, co majtek ma mu do powiedzenia.

– Bo ja nie lubię pomidorówki – wyszeptał majtek. Maćkowi zrobiło się bardzo przykro, w końcu wiedział, jak to jest, gdy ktoś coś każe ci robić czy jeść, choć on nie masz na to najmniejszej ochoty.

– A co byś chciał zjeść – zapytał już bardzo wystraszonego chłopca.

– Moja mama robi pyszną zupę szczawiową – majtek spuścił szybko głowę.

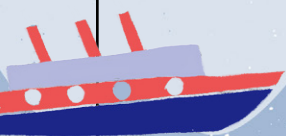
– Szczawiową?!? – zdziwił się Maciek, a jego usta wykrzywiły się, blee nie cierpiał szczawiowej. Zastanawiał się przez chwilę...

– Dobrze, powiem kucharzowi, żeby dla ciebie przygotował mały garnek twojej ulubionej zupy – powiedział. Majtek spojrzał na niego z wdzięcznością. Kto by pomyślał, że talerz zupy może wywołać tyle radości. Wiedział, o tym jednak Maciek... – Nie chcesz ze mną pograć w piłkę? – zapytał chłopca.

– Gdzie ty byłeś? – z marzeń o byciu kapitanem wyrwał Maćka znajomy głos. To tata, szedł w jego stronę.

– Szukam cię od godziny – mówił. Maciek nie chciał tacie pokazać, że bardzo się cieszy na jego widok... Nie wiedział, po co przyszedł, w ręce miał bluzę, może chciał mu tylko ją dać, żeby nie zmarł sam na plaży wieczorem? Tymczasem tata przytulił go bardzo mocno: – Nigdy więcej tego nie rób, pamiętaj proszę, nigdy więcej – głos mu się załamał, a wtedy Maciek się rozplakał. Nie chciał, żeby tata przez niego był smutny. – Przepraszam – powiedział, bo czuł, że powinien, choć do końca nie bardzo rozumiał, za co przeprosza, po prostu chciał, żeby tata już się uśmiechnął. I tak też się stało.

– Choć, wracamy do mamy, ona też się denerwuje, a mamy kawałek marszu – powiedział i wziął go za rękę. Nie rozmawiali o gokartach, kucykach, ganił się z falami, a Maciek czuł się szczęśliwy. Nie chciał



już żadnych gokartów, postanowił nie sprawiać kłopotów rodzicom. – Od dzisiaj na wszystko się będę zgadzał – postanowił. I powiem wam, że słowa dotrzymywał. Rodzice patrzyli na niego z dumą, kiedy ustępował młodszemu bratu i nie kłócił się z siostrą. Czasami tylko marzył, że jest kapitanem statku, gdzie może mówić na co ma ochotę i każdy go słucha.

Skończyły się wakacje. Maciek z lekkim niepokojem patrzył na swój Tornister, chciał co prawda taki z autami, jego ulubiony, ale mama w końcu kupiła mu inny, tłumacząc, że ciemniejszy, nie będzie od razu brudny. Nie obstawał przy swoim, w końcu nie raz się już przekonał, że to droga donikąd i każdy zrobi i tak to, co uważa za słuszne.

Okazało się, że w szkole ma trzech kolegów, których znał już z przedszkola. Wiadomo, że zawsze jest różnie, kiedy się już kogoś zna. Szybko wymienili się tym, jak wyglądają ich piórniki, ustalili, kto z kim będzie siedział. Pani – wychowawczyni, okazała się bardzo miła, cały czas się uśmiechała. Pytała wszystkich, jak spędzili wakacje, czego chcieliby się w szkole nauczyć. Było bardzo miło, choć Maciek nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

Przecież i tak pani im powie, czego mają się uczyć, a nie tak, że on będzie się uczył tego, czego by chciał.

– Jak w szkole? – pytała mama.

– Fajnie – każdego dnia odpowiadał Maciek, bo w szkole było fajnie. Bawił się na przerwach z kolegami, na lekcjach słuchał tego, o czym pani opowiada, czasami tylko uciekał na swój statek... Tam mógł mieć



więcej wuefu, matematyki uczył się, układając rymy do zadań, dużo śpiewał... szkoła na statku była zupełnie inna, była taka, do jakiej on chciałby chodzić. Ale przecież nie raz już miał okazję się przekonać, że to co on chce, nie ma znaczenia.

– O czym myślisz, synku – pytała go mama, a on nie chciał jej mówić o swoim świecie na statku. Tam mógł być sam, bez siostry, bez brata, bez kolegi z klasy, z którym zawsze zamienia się na kanapki.

– Z czym masz kanapkę – zapytał pewnego dnia Wojtek.

– Z sałatą, serem i ogórkiem – odpowiedział zgodnie z prawdą Maciek.

– Zamienisz się? Maciek był tak zaskoczony, że bez wahania się zgodził. Tyle tylko, że Maciek miał kanapki z jajkiem... Maciek nie lubił jajek. Mimo to każdego dnia zamieniał się z Wojtkiem drugim śniadaniem, nie potrafił mu odmówić. Tak jak nie potrafił powiedzieć Igorowi, żeby nie bawił się jego kredkami. Zawsze je temperował w domu, żeby być przygotowanym do lekcji, a Igor w pół sekundy je łamał.

– Pokaż, ty masz takie fajne kolory – mówił i wyciągał kredki z piórnika. Pani już raz zwróciła Maćkowi uwagę, żeby nie rozmawiał, gdy on próbował Igorowi powiedzieć, żeby nie ruszał jego piórnika.

I choć Maćka wszyscy lubili, bo z każdym się dzielił tym co miał, każdemu pomagał, dobrze się uczył, to on jednak był jakiś smutny. Coraz częściej uciekał w myślach na swój statek. Tam potrafił powiedzieć, że się z czymś nie zgadza, że coś mu się nie podoba.

– Kapitanie, a może popłyniemy na jedną z siedmiu nieznanych wysp?

– pytał się Maćka bosman.

– Myślałem o tym, żeby dzisiaj połowić ryby i odpocząć – mówiła Ma-



ciek – kapitan bez strachu, że ktoś uzna jego pomysł za nieistotny. Na statku ze sobą rozmawiali, wszyscy zdążyli się już poznać.

- Ryby to świetny pomysł – mówił ktoś z tłumu.
- Dawno nie jedliśmy ryb – dodawał kucharz.
- Dzień odpoczynku każdemu się przyda – zgadzał się bosman i wszyscy z przyjemnością oddawali się lenistwu i wędkowaniu. A następnego dnia obierali kierunek na siedem nieznanych wysp.

Maciek westchnął głęboko, tylko tam czuł się ważny.

- Co się dzieje synku? – zapytała mama. – Wszystko w porządku?
- Tak, tak – odpowiedział wyrwany z zamyślenia Maciek.
- Może masz na coś ochotę? – mama nie dawała za wygraną.
- Nie, dziękuję – odpowiedział automatycznie i jak zwykle Maciek.

Mama posmutniała.

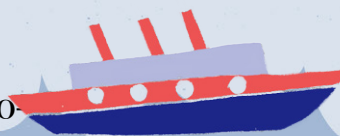
- Naprawdę nic nie chcesz? – dopytywała.

Maciek spojrzał na mamę zaskoczony i zobaczył, że jest zmartwiona.

- Przepraszam – powiedział szybko...

Mama przytuliła go mocno. – Za nic nie musisz mnie przeproszać – powiedziała. – Przecież nic nie zrobiłeś.

- To dlaczego jesteś smutna?
- Bo nic mi nie mówisz, bo kiedy pytam, czy coś byś chciał, nie odpowiadasz. Powinam się cieszyć, że nie sprawiasz kłopotów. Jesteś cudownym chłopcem, ale od wakacji nie poprosiłeś nawet babci o swoje ulubione placuszki. W kinie leci kolejna część twojej ulubionej bajki, a ty nie mówisz, że chciałbyś pójść...



Maciek słuchał tego, co mówi mama.

- Coś ci pokażę – powiedział, wyciągając z szuflady jeden ze swoich ulubionych rysunków, który sam zrobił.

– To mój statek – powiedział z dumą i zaczął mamie opowiadać o tym, że na statku jest kapitanem, że tam mówi, co chce, że kucharz zawsze gotuje to, na co on ma ochotę, ale też czasami gotuje dla innych, jak dla majtka, który nie lubi pomidorowej. Na statku może rysować, może jeść kanapki z serem i nikt się nie obraża, kiedy mówi, że nie chce pożyczyć swoich kredek, bo są dla niego ważne. Tam każdy go rozumie. Mówił z takim przejęciem, że nie zauważył, kiedy mamie zaczęły płynąć łzy.

- Mamo, przepraszam – znowu chciał się tłumaczyć, a mama go mocno przytuliła. – To ja cię synku przepraszam – powiedziała.

Długo rozmawiali, mama nawet nie poszła do Kacpra, który płakał, bo mu Matylda wyłączyła bajkę, chciała słuchać o statku i o przygodach, które przeżył na nim Maciek. A chłopiec cieszył się, że może jej o tym wszystkim opowiedzieć i że dla niej jest to ważne, że nie wyśmiewa go, nie mówi, że opowiada bzdury i żeby zajął się w końcu czymś poważnym.

Kiedy tata wrócił do domu, mama do bardzo późna siedziała z nim w kuchni. Mówili szeptem, więc Maciek nie mógł usłyszeć, czym byli tak zajęci. Kiedy już zasypiał, tata wszedł do jego pokoju... Poprawił mi kołdrę, pocałował. Maciek udawał, że śpi, bo nie wiedział, co takiego

się wydarzyło, że nagle wszyscy się nim tak interesują... Może to źle, że opowiedział mamie o statku? O psie – Feliksie, który był jego wiernym towarzyszem, i o wystawie swoich rysunków, które robił podczas rejsu, a które wszyscy na statku podziwiali, o kolegach, których zaprosił na przyjęcie i wcale nie byli to wszyscy z jego klasy, jak chciała mama.

Nazajutrz, po szkole, w domu czekała na Maćka niespodzianka – karton ładnie zapakowany, z kokardą na górze i napisem „Dla Maćka”. Był bardzo zdziwiony, przecież do jego urodzin był jeszcze ponad miesiąc. Mama z tatą dumnie wręczyli mu prezent. Rozpakowywał go bardzo szybko, nie mogąc się doczekać, co kryje się w środku. A tam... oprócz zestawu cudownych kredek o jakich zawsze marzył, było coś jeszcze – kapitańska czapka. Wyciągnął ją powoli nie wiedząc zupełnie co myśleć. Spojrzał na mamę, a tata złapał czapkę i nacisnął mu ją na głowę.

– Wiesz, chcielibyśmy, żebyś był zawsze kapitanem, nie tylko na statku, ale też w domu i w szkole i wszędzie – powiedziała mama. Maciek nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale wtedy rodzice usiedli i opowiedzieli mu o chłopcu, którego bardzo kochają. O chłopcu, który nie wiadomo kiedy stał się poważny i rozsądny, który przestał mówić, co go cieszy, przestał klócić się o to, co jego. Swojemu bratu oddał nawet ulubiony zestaw lego, choć wiedzieli, jak był dla niego ważny. Nie pytał, kiedy będzie pomidorówka i czy pójdą w tym roku na łyżwy – a przecież uwielbiał na nich jeździć. Zamknął się w swoim pokoju, nie chciał nikomu sprawiać kłopotów.

A przecież był kapitanem! Był niezwykłym kapitanem, który bardzo chciał mieć psa, który miał niezwykły talent – rysował, choć swoich ry-

sunków nikomu nie pokazywał, miał niekończącą się wyobraźnię i nie cierpiał kanapek z jajkiem, których przecież wcale nie musiał jeść.

Kiedy Maciek zrozumiał, że rodzice mówią o nim – nie wiedział, co powiedzieć.

– Obiecuj nam jedno – że już nigdy, przenigdy nie zrezygnujesz z tego, żeby mówić, czego chcesz, o czym marzysz.

– Ale przecież sam mówiłeś, że nieważne, czego chcę... – zaczął Maciek, ale tata mu przerwał.

– Mówiłem, ale się myliłem. Jeśli tylko czegoś chcemy, powinniśmy o to walczyć, mówić wokół, że to jest dla nas ważne. Obojętnie czy jest to smak lodów, czy zajęcia z rysunku, czy treningi piłki nożnej. Jeśli nie będziemy mówić o naszych marzenia i pragnieniach, nikt nie będzie o nich wiedział. Tak, jak nikt nie będzie wiedział, że coś się nam nie podoba, jeśli o tym nie powiemy.

– Czyli nie muszę pożyczać Igorowi swoich kredek? – spytał nieśmiało Maciek.

– Nie musisz, jeśli są dla ciebie ważne, a on je niszczy, możesz mu to wytłumaczyć – mówił tata.

– I nie muszę chodzić na szachy, tylko na zajęcia plastyczne?

– Tak! – powiedziała mama.

– A mogę poprosić babcię o placuszki na kolację?

Wszyscy się roześmieli. I choć czasami Maciek ustępował bratu i siostrze, to zupa kalafiorowa nawet zaczęła mu smakować, a siostra polubiła pomidorową.



I kiedy brakowało mu odwagi, żeby powiedzieć, czego chce – zakładał na głowę kapitańską czapkę, zwłaszcza, gdy chodziło o coś, co dla niego jest ważne.

– Mamo mogę na urodziny tort w kształcie statku? – zapytał.

– Jasne! – odpowiedziała mama i mocno przytuliła swojego kapitana.





Cyberbullying

Bardzo chciałbym mieć komórkę. Już wszyscy mają, a ja nie. Mama z tatą mówią, że jestem jeszcze za mały, ale ja przecież mam już osiem lat! Czy Maciek jest też za mały? Jest nawet mniejszy ode mnie, a już dostał. I Piotrek też. Nawet niektóre dziewczyny mają, chodzą z nimi na przerwach, zaglądają, chichocą. Taka Zuza – na przykład – co chwila robi sobie selfie na szkolnym parapecie, z którego pani jej zawsze każe zejść, na boisku pod drzewem albo i na drzewie, bo Zuza, to trzeba powiedzieć, umie się wpinać po drzewach jak mała. Jak pani zobaczy Zuzę na drzewie, też każe jej zejść i krzyczy na nią okropnie. Ale Zuza ma swoje selfie.

Chłopaki raczej nie robią sobie selfie, ale grają w różne gry. Czasem kilku w jedną, każdy na swojej komórce, a ja stoję z boku i czuję się gorszy. A przecież nie jestem gorszy, z matmy to nawet od Piotrka jestem lepszy, od Maćka nie, ale od Piotrka tak. I bić się umiem, niedawno tego grubego Darka z czwartej B walnąłem tak, że się wygrzmocił na ziemię, gdy powiedział do mnie „te, mały, spadaj”. A ja nie jestem taki mały, jak już mówiłem. I rodzice mówią, że niedługo zacznę nadganiać – to śmieszne, jakby rośnięcie było ściganiem się – ale skoro tak mówią, to się tym pocieszam, że to prawda.

Na lekcjach nie wolno używać komórek. Pani dyrektor to nawet chciała zakazać przynoszenia komórek do szkoły, ale rodzice się nie zgodzili. Bo chcą wiedzieć, co z nami się dzieje – powiedzieli. Nie po to wydawali grube pieniądze na te telefony, żeby teraz leżały w domu, a oni nie mieli z nami kontaktu. To prawda, niektóre mamy co chwila do chłopaków dzwonią, jak tylko wracamy ze szkoły do domów bardziej określną drogą. Mamy blisko szkoły taki fajny park. Nie jest duży, ale rosną w nim krzaki i są kamienie, na których można usiąść. Chodzimy tam czasem, chłopaki z tymi komórkami, a ja z nimi, bo to są moi przyjaciele. I do mnie nikt nie dzwoni, więc tylko sobie myślę, czy mama będzie na mnie bardzo zła, jak się spóźnię, a oni już to słyszą przez telefon. Wtedy sobie myślę, po co mi ta komórka, tak mogę pobyć w tym parku spokojnie, a burę mieć potem. Bo przecież chodzimy do parku dla przyjemności, a rodzice tymi telefonami wszystko psują.

Ale potem znowu jest mi smutno, że jej nie mam. Od czasu, jak wszystkie chłopaki mają komórki, mniej się bawimy. Nawet jak jesteśmy sami z Maćkiem, to on co chwila wyciąga ją, żeby sprawdzić, czy jakaś wiadomość nie przyszła, a mnie to wkurza. A tak, jakbyśmy mieli obaj, to ja też bym wtedy zaglądał, czy do mnie ktoś nie napisał i byłoby spoko.

Rodzice mówią, że to właśnie dlatego nie chcą, żebym miał komórkę. Że nie umiemy już się bawić normalnie – czyli tak, jak

się oni bawili, gdy byli młodzi. Ale jak widzę, jak chłopaki się bawią i grają w gry, to taka zabawa wydaje mi się zupełnie normalna. Oni stale o tym gadają, a ja stoję z boku.

*

Hurra! W końcu się zgodzili! Tak im dziurę w brzuchu wierciłem, aż wywierciłem – jak powiedziała mama. Nawet zaprosili Maćka z rodzicami, żeby się naradzić, jak zrobić, żeby mi się nic nie stało. A co może mi się stać? Przecież to tylko rzecz! I to jaka fajna rzecz! Oni gadali w dużym pokoju, a my z Maćkiem siedzieliśmy u mnie i Maciek mi wszystko pokazywał, jak to obsługiwać, jak ściągnąć gry i w ogóle. Byłem taki szczęśliwy, jak chyba nigdy nie byłem. Miałem ten sam model, co miał Maciek, bo tata Maćka zna się na komputerach i komórkach. Kiedyś nawet słyszałem, jak mama Maćka mówiła do mojej mamy, że woli swój laptop od niej. Wszedłem do kuchni wtedy, żeby sobie wziąć soku i mama Maćka przestała zaraz mówić i spojrzała na mnie tak jakoś dziwnie, jakby się mnie przestraszyła, czy co. A moja mama kazała mi nalać sobie tego soku szybko i wracać do siebie. „Żadnych lekcji do zrobienia nie masz?”. Aż się zdziwiłem, bo mama na ogół jest miła. Kiedyś powiedziałem tacie, że gdyby nie była jego żoną, to byłaby moją, a on się tak bardzo ze mnie śmiał, że aż musiał usiąść. Nie wiem, co go tak rozśmieszyło. Tak sobie to powiedziałem, głupi nie jestem, przecież nawet gdyby taty nie było, nie ożeniłbym się z taką starą kobietą. Bo mama jest bardzo miła, ale ma już chyba prawie czterdzieści

lat. Może trochę mniej, ale i tak jest dla mnie za stara. Mógłbym ożenić się z Zuzą. Wszystkie chłopaki lubią Zużę, właśnie dlatego, że potrafi różne rzeczy jak chłopak robić, a jednocześnie jest dziewczyną. Kiedyś mało z tego naszego drzewa na boisku nie spadła, bo zobaczyła lizkę na pniu i takiego wrzasku narobiła, że aż pani dyrektor przyleciała, bo myślała, że ktoś sobie coś naprawdę zrobił. My, chłopaki śmialiśmy się z niej bardzo, a potem Jurek nawet wziął lizkę i gonił Zużę, bo chciał jej wrzucić tę lizkę za kołnierz. Potem dostał naganę i musiał przyjść z rodzicami. A Zuza była na nas kilka dni obrażona i zadawała się tylko z tymi swoimi przyjaciółkami, które zupełnie są głupie. Zuza też bywa głupia, jak się mizdrzy do tego selfie. Ale umie też grać z chłopakami w te gry na komórce, dobrze biega i mówi, że zostanie żołnierzem.

A teraz ja z nimi też będę grał! Rodzice pozakładali jakieś blokady na różne strony, których nie chcieli, żebym oglądał, tak samo, jak rodzice Maćka i inni rodzice. Zanim w końcu mogłem zacząć ją nosić ze sobą, musiałem obiecać strasznie dużo rzeczy. Że będę na nią uważał, że jej nie zgubię, że będę zawsze odbierał do nich telefony, że nie będę jej używał na lekcjach, że nie będę grał za długo... Tyle tego było, że połowy już nie pamiętam. Maciek mówi, że też musiał tyle naobiecować, ale nie zawsze od swoich rodziców odbiera, jak dzwonią, bo przecież czasem jest zajęty bardzo, ale oni tego nie rozumieją i robią mu potem awantury, więc


wiedziałem, co mnie czeka. Zawsze można powiedzieć, że się nie słyszało, bo zapomniało się włączyć po lekcjach. Bo, jak już mówiłem, na lekcjach nie wolno nam telefonów używać, musimy je wyłączyć i położyć na stolikach. I tam mają grzecznie leżeć aż do przerwy.

*

W tej komórce jest super też to, że można robić zdjęcia. Zrobiłem zdjęcia mamie, tacie osobno, mamie i tacie razem, mojemu psu, który ma na imię Czwartek, bo dostałem go we czwartek, trzy lata temu. I w każdy czwartek obchodzi imieniny. Zrobiłem też zdjęcia ciociom i wujkom na urodzinach mojego kuzyna. Ciocia Kasia strasznie na mnie krzyczała, że jej robię zdjęcia, mówiła, że nie lubi, żeby ją fotografować, bo jest stara i brzydka, a to nieprawda. Ciocia Kasia jest dużo młodsza od mamy i jest naprawdę bardzo ładna. Potem, jak jej pokazałem, jak wyszła na zdjęciu, to nawet kazała je sobie przysłać. I dała mi swój numer i posłałem jej ememesem. To był mój pierwszy samodzielnie wysłany ememes i byłem z siebie bardzo dumny.

Teraz w szkole znowu zrobiło się super, bo gram z chłopakami razem w gry. Oczywiście, tata zaraz wgrał mi jakieś logiczne i matematyczne gry, o których powiedział mu tata Maćka i chce, żebym tylko





w to grał. Nawet sprawdza, na jakim poziomie jestem i krzyczy na mnie, jak widzi, że nic nie poszedłem do przodu. Sam też zaczął w nie grać i czasem ścigamy się, kto szybciej coś policzy i to jest spoko, siedzimy sobie z tatą na kanapie i „ciśniemy w klawiaturę” jak wariaci. Tata prawie zawsze wygrywa, ale czasem ja też. A mama mówi, że już chyba zaczyna rozumieć mamę Maćka. To ją namawiamy, żeby z nami zagrała. I kiedyś się zgodziła i wyobraźcie sobie, była pierwsza!

No, ale te zdjęcia to naprawdę jest coś, czego się nie spodziewałem. I chociaż nie wolno używać komórek na lekcjach, to parę razy potajemnie zrobiłem kilka zdjęć nauczycielom. Na przykład, jak ta żmija od polskiego drapie się po głowie, kiedy pisaliśmy klasówkę. Potem pokazałem chłopakom i mieliśmy z tego taką bekę, że nie wiem. Ale to nie jest łatwe, bo jednak trochę nas pilnują. Łatwiej jest robić zdjęcia na przerwach. Dziewczyny piszczą tak jak ciocia Kasia i nie wiem, o co im chodzi, bo przecież same sobie wciąż robią selfie. W dodatku robią wtedy takie głupie miny, cmokają ustami i wyglądają jak ryby. Chciałbym zrobić trochę zdjęć Zuzie, bo jednak mi się podoba. Ale ona tak jakby to wiedziała, zawsze jak podnoszę komórkę, to ona się odwraca tyłem. Ale ona w ogóle szybko się rusza, jest klasową wiercipiętą – jak nazywa ją wychowawczynie, jakby miała adehade. Albo robaki –

tak kiedyś powiedział nauczyciel od angielskiego i potem draka się zrobiła, bo Zuza się od razu popłakała i poskarżyła rodzicom, i oni przyszli do pani dyrektor z awanturą. Wiadomo, dziewczyny takie są. Byle co i beczą. Nie ma czym się przejmować.

W końcu udało mi się zrobić kilka zdjęć Zuzie. Mieliśmy wolną godzinę, bo ta żmija z polskiego zachorowała (szkoda, że na jeden dzień). Była z nami sama pani dyrektor i wypuściła nas na boisko, bo już jest ciepło i ładnie, niedługo będą wakacje! I powiedziała, że mamy się grzecznie bawić, bo ona ma klasówki do sprawdzenia. I siadła na ławce, włożyła okulary i sprawdzała, czasem tylko podnosząc oczy, jak ktoś wydarł się za głośno. Najpierw trochę pograliśmy wszyscy, ale nagle zobaczyłem, że Zuza włązi na to nasze drzewo. Moja komórka ma super zoom, więc nie musiałem nawet bardzo od chłopaków się oddalać, tylko niby nigdy nic, podniosłem ją troszkę, nastawiłem zoom i cyk, cyk, cyk, strzeliłem kilka fotek. A potem wróciłem do grania.

Obejrzałem te zdjęcia dopiero w domu, bo nie chciałem od razu ich chłopakom pokazywać. Może nic z tego nie wyszło i wtedy śmialiby się ze mnie, że nie umiem fotografować. I rzeczywiście, część była zamazana, ale na kilku widać ją wśród liści, jedno jest fajne, bo widać całą twarz, a na jednym... o kurczę, widać majtki! Ale historia! Złapałem ją, jak się podciąga trochę wyżej, zawinęła jej się sukienka (bo Zuza, choć chce być żołnierzem, chodzi w sukienkach, nawet się z niej śmiejemy z tego) i całe gacie widać! Ale jaja!

Nie mogłem doczekać się kolejnego dnia, żeby pochwalić się tymi zdjęciami przed chłopakami.

Pokazałem je im już na pierwszej przerwie.

– Ty, prześlij mi je – powiedział Jurek, a Maciek zaraz, że on też chce. Już umiałem przesyłać ememesy, więc zrobiłem to od razu, wysłałem je do całej naszej piątki. Potem każdy sobie je oglądał, zerkając na Zużę, aż nie wiem, czy czegoś nie zaczęła podejrzewać, bo rzucała nam takie dziwne spojrzenia. A my jej. I śmieliśmy się pod nosem. Najpierw myśleliśmy, żeby po prostu je sobie mieć, ale potem wpadliśmy na jeszcze lepszy pomysł. Wyślemy je jej z jakimś podpisem. „Widzimy cię!” – to był mój pomysł. „Co za gacie!” – zaproponował Maciek. A potem już pooszło! sypaliśmy pomysłami jak z rękawa. W końcu stanęło na „Zuza w gaciach”, bo na ostatniej lekcji z historii sztuki (mamy takie lekcje, rodzice za nie dodatkowo płacą, a potem mają do nas pretensje, że z nich uciekamy) oglądaliśmy portret jakiejś baby podpisany „Dama z gronostajem”. Postanowiliśmy, że wyślemy je wszyscy, będzie miała pięć! I umówiliśmy się, że zrobimy to po lekcjach, a następnego dnia będziemy mieć z tego taką bekę, że nie wiem. Ale następnego Zuza nie przyszła do szkoły. I następnego też nie... I następnego...

*

– Zuziaczku, wstawaj do szkoły!

Cisza.

– Zuziaczku!

Głos mamy coraz bliżej.

Nie. Nie wstanę. Już nigdy nie wstanę.

– Źle się czujesz?

– Tak, bardzo!

– Czekaj – dotknięcie chłodnej ręki – ale gorączki chyba nie masz.

– Brzuch mnie bardzo boli...

To prawda. Brzuch boli tak, jak nigdy. Jakby wszystko tam się skręciło w jakiś strasznie mocno zawiązany supeł.

– Coś zjadłaś wczoraj?

– Tak!

To też prawda. Jak zobaczyła te zdjęcia, to zrobiło jej się tak niedobrze, jak kiedyś, gdy zjadła przeterminowany jogurt. Mama wychodzi z pokoju, słychać, że rozmawia z tatą. Tata – jak to tata – mówi, że pewnie to tylko wymówka, ale mama mówi, że już widziała, że wieczorem coś jest nie tak, bo Zuza była taka blada jak ściana. I nieswoja. To niech zostanie w domu ten dzień.

– Chcesz coś zjeść?

– Nie, dziękuję.



Ten supeł w brzuchu jest tak mocny, że żadne jedzenie nigdy przez go przejdzie. Pewnie umrę z głodu. I dobrze. Mogę umierać. Mama w kuchni zostawia bułkę posmarowaną masłem, przykrytą talerzykiem, żeby nie wyschła. Obok kubek słabej herbaty. Zuza ma być dzisiaj na diecie. Wychodzą.

Zuza zostaje sama. Włącza komórkę, jeszcze raz ogląda to straszne zdjęcie. Całe gacie jej widać! To pewnie zrobił ten pajac, Leon, co to ostatnio dostał komórkę i nic, tylko fotografuje każdego bez pytania. Ale nie tylko on jej je wysłał, wszyscy jego ziomkowie też. Maciek, Jurek... Kto jeszcze to widział?! Cały świat!

Zuza zaczyna płakać. I nikomu nie może o tym powiedzieć przecież! Ale rodzice byliby źli! Nie dość, że chodziła po drzewie, za co już kilka nagan miała, to jeszcze pozwoliła, by jej zrobiono takie zdjęcie! To przecież jej wina. Gdyby obciągnęła sukienkę, nic by widać nie było! Nie, już nigdy nie wstanie z tego łóżka. Będzie tu leżeć do końca życia!

Ćwiczenie

Co myślisz o postępowaniu Leona i jego kolegów? Dlaczego on to zrobił? Czy rzeczywiście chciał zrobić Zuzie krzywdę? Czy po prostu nie zdawał sobie sprawy, że robienie zdjęć bez pytania jest niewłaściwe? Zwłaszcza takich zdjęć, które ośmieszają drugą osobę? Wyobraź sobie, że jesteś na jego miejscu?

Co byś zrobił/a, żeby jakoś pomóc Zuzi?

Dlaczego Zuza nie chciała pójść do szkoły? Dlaczego tak bardzo się załamała? Czy to była jej wina, że zrobiono jej takie zdjęcie? Jak można by teraz jej pomóc?

Smuteczkowo

Nie tak dawno temu i nie tak daleko stąd, w pewnym uroczym miejscu było sobie małe miasteczko. Wszystkie domy w tym miasteczku były pomalowane na szaro, a dachy były pokryte czarną dachówką. Na małym rynečku otoczonym sklepikami stała fontanna w kształcie krokodyla, z którego oczu tryskały, niczym łzy, dwa strumienie zimnej wody. Wokół rynku stały pomalowane na szaro małe ławeczki, na których nikt nigdy nie siadał. Miasteczko nazywało się Smuteczkowo.

Wszystko w Smuteczkowie było bardzo smutne. W małej piekarni sprzedawano tylko czarny chleb i ciemne bułeczki. W warzywniaku brakowało kolorowych owoców. Królowały tam ziemniaki, kalafiorzy i czarna rzepa, były też jabłka, szare renety, które miały ciemną i szorstką w dotyku skórę. W sklepie z ubraniami wisiała odzież w różnych odcieniach szarości. Fotograf robił tylko czarno-białe zdjęcia, a w cukierni wszystko było oblewane czarną, gorzką czekoladą.

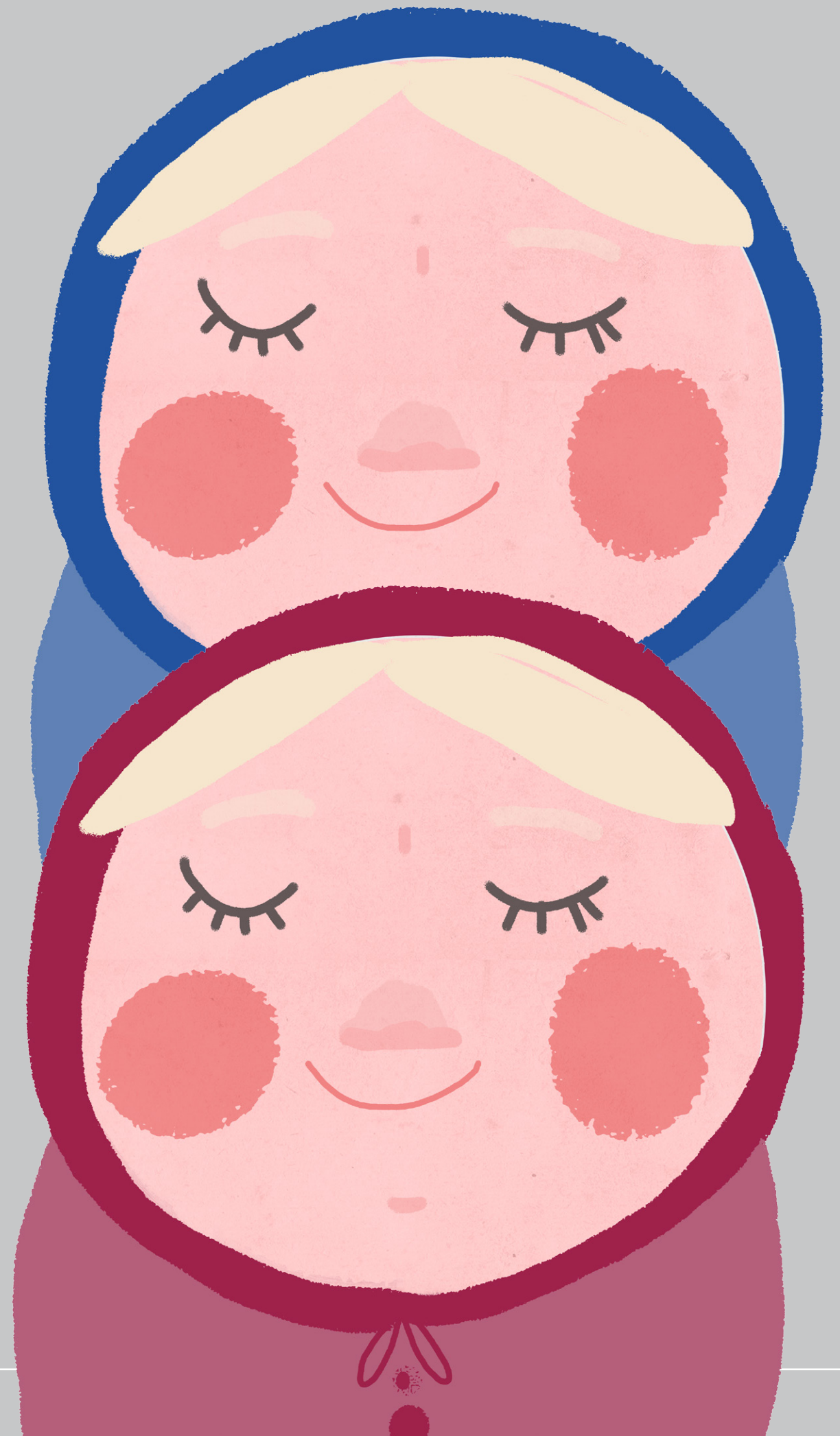
Mieszkańcy Smuteczkowa odziani w szare ubrania udawali się codziennie do swoich zajęć, po których wracali do swoich szarych domów, zjadali kolację i czytali w gazetach lub oglądali w czarno-białych telewizorach smutne wiadomości. Psy w Smuteczkowie nigdy nie merdały ogonami, a koty nigdy nie bawiły się kłębkami włóczki.



Dzieci, które tam mieszkały, chodziły do szarej szkoły, w której uczyły się głównie odejmowania i czytały smutne książki z czarno-białymi obrazkami. Uczyły się też narzekać, gdyż narzekanie było głównym zajęciem w tym miasteczku. Mieszkańcy potrafili narzekać na wszystko. Kiedy padał deszcz, rozkładali czarne parasole i mówili „Znowu pada! Czy nigdy już nie przestanie lać deszcz?!” A kiedy wychodziło słońce, również rozkładali czarne parasole i mówili „Ach, jakże dokuczliwie piecze to słońce! I razi w oczy! Jest przez nie tylko gorąco i duszno!” po czym zakładali okulary przeciwsłoneczne i chowali się w swoich domach. Jak sami się domyślacie, życie w takim miasteczku nie było zbyt przyjemne.

Niezwykłe niemowlęta

Pewnego wiosennego dnia, kiedy świeciło w najlepsze słońce, w jednym z domów przyszyły na świat bliźnięta. Pewnie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyż powszechnie wiadomo, że bliźnięta czasem się rodzą i już. Jakież jednak było zdumienie domowników, kiedy z malutkich gardziołek tych niemowląt, zamiast zwyczajowego płaczu, wydobył się gromki śmiech. Spowodowało to w miasteczku wielkie poruszenie. Dzieci, które od pierwszego dnia życia uśmiechały się, zamiast płakać? W Smuteczkowie takie rzeczy były nie do pomyślenia! Zawstydzeni rodzice ze łzami w oczach wezwali lekarza, który pojawił się w asyście same-



go burmistrza, gdyż wieści o dziwnych bliźniętach dotarły już do ratusza. Doktor, bardzo wysoki i niezwykle chudy mężczyzna w wielkich i grubych okularach, spoza których badawczo wyglądały małe, płacziwe oczy, od razu przystąpił do badania sytuacji:

– Czy zdarzało się już coś takiego w państwa rodzinie?

– Ależ skąd! – odpowiedział załamany ojciec – to pierwszy raz! Wszyscy przodkowie, zarówno moi jak i mojej żony, płakali jako niemowlęta!

– A czy pani przypadkiem nie jadła ostatnio zbyt dużo czekolady? – zapytał podejrzliwie lekarz.

– Ależ skąd, panie doktorze, tylko słone paluszki, zgodnie z pana zaleceniem! – zapewniła młoda matka.

– No cóż, miejmy nadzieję, że to im szybko minie – podsumował nerwowo lekarz, na co bliźnięta, jak na zawołanie, wybuchnęły salwą śmiechu. Doktor uniósł nerwowo brwi, odwrócił się na pięcie i pośpiesznie opuścił mieszkanie, jak gdyby uciekał przed straszną chorobą zakaźną. Burmistrz, który dla odmiany był małym, okrągłym człowieczkiem noszącym ogromny, czarny cylinder zawyrokował:

– Jeżeli te chichoty się nie skończą, będziemy zmuszeni przenieść państwa poza miasto, aby śmiech dzieci nie przeszkadzał innym mieszkańcom. – Po tych słowach, nie zwracając uwagi na strapione miny rodziców, również opuścił ich domostwo.

Wkrótce cała rodzina rzeczywiście musiała się przeprowadzić, gdyż uśmiech nie schodził bliźniętom z twarzy. Rodzice udawali, że tego nie widzą, ale bardzo się martwili i trzymali swoje dzieci

z dala od pozostałych mieszkańców. Julek i Julka, bo takie imiona otrzymało rodzeństwo, wcale nie byli tym zasmuceni. Bardzo lubili swój nowy dom, który stał pod miastem, w pobliżu lasu, zwanego przez wszystkich Mrocznym Borem. Pomimo tej groźnej nazwy i przestróg rodziców, dzieci szybko odkryły, że Mroczny Bór wcale nie był mroczny. Rosło w nim wiele roślin i mieszkało mnóstwo zwierząt. Dzieci pokochały to miejsce i spędzały w nim cały wolny czas. Godzinami obserwowały mrówki budujące mrowisko albo wspinały się na drzewa i zaglądały do gniazd ptaków pod ich nieobecność. Wszystko je interesowało i wszystkim się zachwycały. Kiedy przyszedł czas, by wysłać je do szkoły, ich rodzice tak obawiali się reakcji innych dzieci, że postanowili sami uczyć Julkę i Julka w domu. Nauka szła bliźniakom bardzo dobrze, jedynie z narzekaniem nie radziły sobie najlepiej, bo wołały się raczej zachwycać.

Tęczowa Polana

Pewnego razu, kiedy jak co dzień dzieci wybrały się do lasu znajomą ścieżką, nagle coś mignęło za drzewami. Zaciekawione pobiegły tym kierunku i kiedy już myślały, że to tylko złudzenie, zobaczyły motyla. Nie był to jednak zwykły biały motyl, jakie zdarzało im się widywać na grządkach kapusty, ani ciemnoszara ćma przylatująca wieczorami do światła. Ten motyl był o wiele większy, a jego skrzydła mieniły się wszystkimi kolorami. Julek i Julka nigdy wcześniej czegoś takiego nie widzieli. Oszło-mieni tym widokiem podeszli bliżej, wyciągając dłonie, ale wte-

dy motyl poderwał się ze źdźbła trawy, na którym odpoczywał i przeleciał na oddalony o kilka kroków krzew. Dzieci ruszyły w jego kierunku lecz kiedy się zbliżyły, motyl znów odleciał kawałek dalej, jakby dawał im do zrozumienia, żeby za nim poszły. Wprawdzie rodzice mówili im, że nikt nie powinien sam zapuszczać się w las ale ich przecież było dwoje, a kolory na skrzydłach motyla były tak niezwykle, że jak zahipnotyzowani, dali się ponieść nowej zabawie. Motyl przysiadł co pewnie czas, a kiedy dzieci się zbliżały odlatywał, ale zawsze na tyle blisko, aby mogły za nim podążyć. W ten sposób prowadził je coraz głębiej i głębiej w Mroczny Bór. Oczarowane kolorami i rozbawione tą zabawą dzieciaki nie zauważyły, że odeszły już bardzo daleko od znanej im części lasu.

Teraz możecie pomyśleć, że zdarzy się coś złego, w końcu był to Mroczny Bór, więc powinno w nim czyhać coś mrocznego. Tak też pomyślał Julek i już miał to powiedzieć Julce, kiedy drzewa nagle się przerzedziły i ich oczom ukazał się niezwykle widok. Przed nimi, na środku polany, rośło ogromne drzewo, zupełnie nie podobne do tych, które znali. Jego pień wydawał się być skręcony z grubych konarów, niby dziwny warkocz, a jego srebrne i złote liście delikatnie pobrzękiwały na wietrze i dzieciom wydawało się, że słyszą cichy śmiech. Ale najbardziej niezwykle były kwiaty, które rosły pod drzewem. Purpurowe, niebieskie, żół-

te, różowe, błękitne, fioletowe i w wielu, wielu innych kolorach, które nawet nie mają nazwy. Jakby tego było mało, nad kwiatami unosiły się setki kolorowych motyli, takich samych jak ten, który je tu przyprowadził. Dzieci całkiem oniemiały od piękna i ilości tych barw, musicie bowiem pamiętać, jak niewiele kolorów miały możliwość zobaczyć w Smuteczkowie. Stały tak i patrzyły, nie wiedząc czy upłynęła chwila czy cały dzień, gdy wtem wszystkie motyle usiadły na kwiatkach i znieruchomiały. Wówczas skręcone konary pnia poruszyły się, tworząc małą dziuplę, z której wypłynęła blad różowa mgła i powoli ruszyła w stronę dzieci. Gdy znalazła się kilka kroków od nich, zatrzymała się i zaczęła przybierać ludzkie kształty. Wiele z was uciekłoby pewnie ze strachu, ale Julka i Julek byli tak oczarowani, że ich stopy wrosły niemal w ziemię. Tymczasem mgła przemieniła się w kobiecą postać niezwyklej urody, w zwiewnej sukni oraz w wianku na głowie.

– Witajcie, o wy, niosący radość! – odezwała się piękna nieznajoma, a jej głos brzmiał ciepło i uroczyście – Długo na was czekaliśmy.

Julek i Julka spojrzeli na siebie zaskoczeni, nie bardzo wiedząc jak zareagować na to dziwne powitanie.

– Witaj pani – powiedział w końcu Julek.

– Mam na imię Lea. Witajcie na Tęczowej Polanie, jedynym

miejscu, gdzie jeszcze pozostały kolory. Jestem ich opiekunką . To, co widzicie musi być dla was zupełnie niezrozumiałe i bardzo tajemnicze, jeśli jednak mi pozwolicie, spróbuję wam to trochę wyjaśnić.

– Nazywam się Julek, a to moja siostra Julka – przestawił ich grzecznie chłopak. – I chętnie wysłuchamy twojej opowieści.

– Usiądźcie zatem, – zaproponowała Lea, a kiedy dzieci wygodnie się ułożyły na mchu, zaczęła opowiadać.

– Miasteczko z którego pochodzicie, Smuteczkowo, nie zawsze było miejscem szarości i narzekania. Wiele lat temu było to miasto pełne kolorów i radości, w którym regularnie odbywały się wesole uczty i jarmarki, a jego mieszkańcy śmiali się często i szczerze. Pewnego razu burmistrz miasta postanowił zorganizować przyjęcie urodzinowe dla swojej jedynej córki. Przygotowano wiele niespodzianek, upieczono kolorowe ciasta, miejscowy lodziarz przygotował lody o niezliczonych smakach a na gości czekały niespodzianki i prezenty. Listy z zaproszeniami na to wspaniałe przyjęcie rozesłano do rodziców wszystkich dzieci w mieście. Wszystkich, oprócz jednej dziewczynki. Dziewczynka ta urodziła się z dziwną przypadłością – nie potrafiła się uśmiechać. Pomimo wysiłków wielu lekarzy nie udawało się sprawić, by na jej twarzy pojawił się uśmiech. Dziewczynka była grzecznym i dobrze uczącym się dzieckiem, zawsze mówiła „proszę” i „dziękuję” oraz „przepraszam”. Pomagała rodzicom i z szacunkiem odnosiła się do starszych, jednak dzieci w szkole często się z niej naśmiewały i wołały do niej na przewie „smutaska”. Z tego powodu dziew-

czynka zwykle trzymała się na uboczu. I to jej właśnie nie zaproszono na urodziny córki burmistrza. Kiedy jednak mama owej dziewczynki usłyszała, że zaproszone zostały wszystkie dzieci w mieście, pomyślała, że list z zaproszeniem dla jej córki widocznie zawieruszył się gdzieś po drodze. Ubrała ją więc władną sukienkę, we włosy wpięła jej odświętną kokardę i poszły razem na przyjęcie do burmistrza . Kiedy pojawiły się na miejscu, były oszołomione niezwykłymi atrakcjami, jakie czekały tam na gości. Dobry obyczaj wymagał, aby najpierw wręczyć urodzinowy prezent. Kiedy jednak córka burmistrza zobaczyła dziewczynkę bez uśmiechu, natychmiast zaczęła krzyczeć, by ktoś zawołał jej ojca. Wśród dzieci i rodziców zrobił się szum i wszyscy przybiegli, żeby zobaczyć co takiego się stało.

– Na przyjęcie wstęp mają tylko osoby zaproszone! – poinformował burmistrz.

– Myślałam, że wszystkie dzieci są zaproszone... – tłumaczyła się zawstydzona matka.

– Nie wszystkie! Tylko te radosne! – wtrąciła ze złością córka burmistrza.

– Sama pani rozumie, że jeżeli ktoś się nie uśmiecha, to nie warto na niego marnować dobrej zabawy – dodała żona burmistrza.

W oczach dziewczynki pojawiły się łzy. Gdy jej mama to zobaczyła, poczuła ogromny żal.

– Przecież, to, że ktoś się nie uśmiecha, nie znaczy, że nic nie czuje. Można czuć radość ale po prostu nie okazywać jej tak jak inni – powiedziała głośno. – Jesteście okrutni! Obyście wszyscy

zaznali takiego smutku, jaki dzisiaj sprawiliście mojej córce! – dodała a po jej policzkach popłynęły łzy.

Kiedy pierwsza z nich spadła na bruk, całe miasto zatrzęsło się w posadach. Na słoneczne niebo nadciągnęły czarne chmury. Przerażeni mieszkańcy chcieli uciekać, ale zdali sobie sprawę, że nie mogą się poruszyć. I wtedy z ciemnych chmur lunęła rześista ulewa, a każda kropla deszczu jaka spadała na miasto, zmywała wszystkie kolory. Urodzinowe balony, ozdoby i tęczowe torty zaczęły nagle tracić swoje barwy i zrobiły się zupełnie szare. Kolory zniknęły z ubrań i ze ścian domów a w ich miejscu pozostała tylko szarość. Każda kropla deszczu odbierała też mieszkańcom radość. Na jej miejsce wkradały się obojętność i smutek. Na koniec w sam środek rynku z oszałamiającym błyskiem uderzyła błyskawica i natychmiast w tym miejscu pojawiła się dziwna fontanna z płaczącym krokodylem. Miasteczko stało się Smuteczkiem.

– Biedna dziewczynka – powiedziała Julka. Wiedziała, jak trudno jest być innym i jakie miała szczęście, że nie była sama, bo zawsze był przy niej brat.

– Okropna ta córka burmistrza – zauważył Julek. – Teraz przez nią cierpi całe miasto. Czy nic nie można z tym zrobić?

– Cieszę się, że zadałeś to pytanie – odpowiedziała tajemnicza postać – długo czekałam aż pojawi się ktoś, kto przezwycięży zaklęcie smutku. Wygląda na to, że los miasta jest w waszych rękach. Jesteście jedynymi, którzy potrafią się uśmiechać, więc tylko wy moglibyście uratować Smuteczko. Czy chcecie podjąć się tego zadania?

Julek i Julka spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, ale to jedno spojrzenie wystarczyło aby podjąć decyzję. Kiwnęli zatem głowami, a pani Tęczowej Polany ciągnęła dalej:

– Nie wiem do końca jak ma wyglądać wasz misja. Wiem tylko, że musicie zacząć od przepłynięcia się przez Rzekę Snów.

– Ale przecież ja nie umiem pływać – zasmuciła się Julka.

– Nie szkodzi. Jest tam przewoźnik, który może was przewieźć na drugą stronę.

– Ale my nie mamy pieniędzy – powiedział Julek – Jak mu zapłacimy?

– W tym już nie mogę wam pomóc. Mogę jedynie wysłać motyla, który was do niego zaprowadzi. Potem musicie radzić sobie sami. Moim zadaniem było tylko opowiedzieć historię miasteczka tym, których przywiodą motyle. Ale zaufajcie swojemu sercu. Ono zawsze pomaga znaleźć rozwiązanie w trudnych sytuacjach.

To powiedziawszy pani Tęczowej Doliny zaczęła się wolno rozpląwać w różową mgłę, która poszybowała w kierunku drzewa.

– I co teraz? Nasi rodzice będą się martwić, jeśli nie wrócimy – zaniepokoiła się Julka.

– Nasi rodzice żyją w smutku i zmartwieniach przez cały czas – odparł Julek. – Jesteśmy jedyną nadzieją dla nich i dla całego miasta, musimy spróbować. A poza tym, potrafisz stąd trafić do domu? – zapytał.

Julka zdała sobie sprawę, że jej brat miał rację. Nie mogła sobie przypomnieć, z której strony lasu przyszli. A ta wyprawa była

szansą. Mogliby przywrócić radość w miasteczku i zobaczyć uśmiechy na twarzach swoich rodziców i pozostałych mieszkańców. Mogliby w końcu być tacy, jak wszyscy.

– Szkoda czasu, – dodał Julek. – Chodźmy! Prowadź nas motylku! – krzyknął w kierunku drzewa.

Spośród kwiatów wystrzelił w górę jeden z motyli, zatoczył kółko nad ich głowami po czym skierował się w stronę dużego krzaka na brzegu polany. Dzieci bez słowa ruszyły za nim.

Rzeka Snów

Cała podróż wyglądała tak, jak poprzednio, motyl leciał przodem, czasami przysiadając, żeby zaczekać na dzieci, a one biegły za nim. Kilka razy zatrzymały się, by nazbierać malin i jagód i napić się wody. Kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, usłyszały szum rzeki a kilka chwil później znalazły się na jej brzegu. Motyl znowu zakreślił kółko nad ich głowami i odleciał w kierunku lasu a Julek i Julka z zainteresowaniem przyglądały się rzece. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że płynie w niej zwyczajna woda ale kiedy ktoś zapatrzył się w nią dłużej, w kącikach oczu zaczynały mu migać jakieś błyski, kształty i obrazy. Kiedy tylko jednak spojrzano się w tym kierunku, aby lepiej rozpoznać kształt, znowu widziało się tylko zwyczajną wodę.



– Snów nie można do końca zobaczyć – usłyszały dzieci męski głos.

Dopiero teraz zobaczyły, że na pobliskim pniu siedzi młody chłopak. Był starszy od nich, ale nie był dorosły. Mógł mieć może piętnaście lat.

– Dzień dobry. Nazywam się Julka, a to mój brat, Julek – zagadnęła grzecznie Julka.

– Potrzebujemy przeprowić się na drugi brzeg rzeki. Czy widziałeś tu gdzieś przewoźnika?

– zapytała.

– Owszem, ale przeprawa przez Rzekę Snów ma swoją cenę – odpowiedział chłopak. – A wy nie wyglądacie na kogoś, kto może zapłacić...

– Jeśli powiesz nam gdzie go znaleźć, będziemy mogli go zapytać czego chce w zamian. Może zgodzi się byśmy jakoś to odpracowali albo zapłacili mu później – powiedział z nadzieją w głosie Julek, chociaż sam nie widział dużej szansy na taki obrót spraw.

– Potrzebujemy przedostać się na drugą stronę, bo to jedyna szansa na pomoc dla ludzi z naszego miasteczka – dodała Julka. Na te słowa chłopak wyraźnie się ożywił.

– A więc jesteście ze Smuteczki – bardziej stwierdził niż zapytał. – To ciekawe. Dlaczego akurat wy moglibyście pomóc jego mieszkańcom?

– Dlatego, że tylko my w całym mieście potrafimy się uśmiechać – odpowiedział Julek. – A teraz czy mógłbyś nam powiedzieć gdzie znajdziemy przewoźnika?

– Już go znaleźliście – odpowiedział chłopak – właśnie z nim rozmawiasz.

– Ale przecież ty jesteś taki młody... – wyrwało się Julce.

– Tak może ci się wydawać, ale wyglądam tak tylko dlatego, że sny się nie starzeją. Jeżeli spędzałabyś nad Rzeką Snów cały swój czas, to on też by się dla ciebie zatrzymał, tak jak dla mnie – odpowiedział przewoźnik bez cienia urazy.

– Czy możesz nas przewieźć na drugą stronę? – poprosiła Julka.

– Mogę, ale musicie zapłacić.

– Ale my nie mamy pieniędzy. Możemy ci oddać to co mamy. Na przykład nasze buty...

– Nie interesują mnie ani pieniądze ani inne rzeczy materialne – przerwał jej chłopak. – Będzie was to kosztować jeden uśmiech. Julka nie wierzyła temu co usłyszała. Spojrzała na brata, ale jego spojrzenie wyrażało to samo. A więc miało to być tak łatwe! Aż podskoczyła z radości.

– Dostaniesz ode mnie najpiękniejszy uśmiech! – zawołała wesoło i uśmiechnęła się najpiękniej jak tylko potrafiła. Ale przewoźnik zmarszczył czoło.

– Nie zrozumiałaś mnie dobrze. Przewiozę was na drugą stronę za jeden z waszych uśmiechów. To oznacza, że jedno z was odda mi swój uśmiech na zawsze i nigdy już nie będzie się w stanie uśmiechnąć.

Teraz dopiero do obojga dotarło jak wysoką cenę muszą zapłacić. Nawet jeśli uda im się przełamać zły czar, któreś z nich znowu będzie na zawsze inne. Podczas kiedy wszyscy będą się mogli

cieszyć, na twarzy jednego z nich już nigdy nie zagości uśmiech.

– Weź mój! – prawie krzyknął Julek, który szybciej ochłonał po usłyszeniu tej strasznej nowiny.

– Jestem chłopakiem, mnie będzie łatwiej.

– Nie możesz Julek! Weź mój! – zawołała Julka, podbiegając do chłopaka.

– Musicie wspólnie zdecydować czyj uśmiech dostanę – powiedział przewoźnik – i musi to być dobrowolny dar. Będę czekał w łodzi.

To powiedziawszy okręcił się na pięcie i powędrował w stronę rzeki, a dzieci ze zdziwieniem zobaczyły, że na jej brzegu nie wiadomo skąd pojawiła się drewniana łódka z parą wiosł. Nie to jednak było ich zmartwieniem. Musiały podjąć trudną decyzję. Przez dłuższą chwilę się naradzały, aż wreszcie Julek zaproponował:

– Niech los zadecyduje! Będziemy ciągnąć żdźbła trawy. Kto wyciągnie krótsze, ten odda uśmiech.

– Zgoda! – odpowiedziała Julka.

Jak postanowili, tak też uczynili. Julek wyrwał kępkę trawy i każde z nich pociągnęło jedno żdźbło. To, które wylosowała Julka było zdecydowanie krótsze. Nie było więc już o czym rozmawiać. Podeszli do łódki i powiedzieli przewoźnikowi o swojej decyzji. Ten pokiwał głową ze zrozumieniem, lecz bez cienia emocji. Wyjął z kieszeni małe lusterko i podał je Julce.

– A teraz uśmiechnij się do swojego odbicia – powiedział.

Julka wzięła lusterko i zbliżyła do twarzy a kiedy zobaczyła swoje odbicie, uśmiechnęła się najpiękniej jak potrafiła. Nagle poczuła zimno, jakby ktoś zimną otworzył w ciepłym domu drzwi i zrobił

przeciąg. Kiedy uczucie minęło, uśmiechnęła się ponownie.

– Chyba coś nie zadziało... – odezwała się nieśmiało.

– Zadziało – uciał przewoźnik.

– Ale ja przecież nadal się uśmiecham. Nawet teraz.

– Nikt, kto na ciebie patrzy, już tego nie widzi – wyjaśnił chłopak, a mina Julka zdawała się potwierdzać jego słowa. – Ludzie mogą mieć w środku wiele radości, która w ogóle nie jest widoczna dla innych. Wsiadajcie. Czeka nas przeprawa.

Dzieci wdrapały się do łódki w milczeniu. Nie chciało im się rozmawiać, gdyż to co się stało, wydawało się im zbyt straszne. Gdy tylko cała trójka znalazła się w łódce, przewoźnik wymamrotał coś pod nosem i dotknął delikatnie wiosł, a one ku zaskoczeniu dzieci zaczęły się poruszać same, jak pod wpływem jakiejś niewidzialnej siły.

– Możecie odpocząć, a nawet się przespać – powiedział przewoźnik, wskazując jakieś koce, które leżały na dnie łodzi – Będziemy płynąć całą noc. Przeprawa przez Rzekę Snów zawsze trwa całą noc – dodał.

Dzieciom nie trzeba było mówić dwa razy. Po takim dniu były naprawdę zmęczone. Ledwo przykryły się kocami, natychmiast opanowała je senność i chwilę później spały kamiennym snem.

Kiedy następnego dnia się obudzili, łódka była już zacumowana na przeciwległym brzegu. Drzewo do którego ją przywiązano, było jedynym drzewem w okolicy. Poza tym po horyzont widać było tylko piasek i ogromne złote wydmy. Dzieci nie mogły dostrzec żadnej drogi i nie miały pojęcia jaki ma być ich kolejny etap

podróży. Przewoźnik siedział opodal na brzegu rzeki, podeszły więc do niego i spytały co mają robić dalej.

– To proste – odpowiedział – trzeba wziąć do ręki garść piasku i pomyśleć o miejscu, do którego chcecie się udać, a pustynia wskaże wam drogę.

– Ale my nie wiemy gdzie chcemy się udać.

– Zapytajcie zatem pustynię – poradził przewoźnik – Na mnie już czas – dodał i ruszył w kierunku łódki. – Powodzenia.

Dzieciom rada przewoźnika wydała się bardzo dziwna, ale uznały, że nie mają wyboru. Julek wziął do ręki garść piachu i krzyknął:

– Chcemy odczarować Smuteczkovo!

Natychmiast zauważył, że coś dziwnego dzieje się z piaskiem w jego dłoni. Robił się coraz cieplejszy. Julek wystraszył się i otworzył dłoń z której ku ich zdumieniu wypadła szklana kula. Ledwie upadła na ziemię, natychmiast zaczęła się toczyć. Oszołomione dzieci nie miały nawet czasu się zastanowić. Po prostu ruszyły jej śladem.

Kamienne ptaki

Kula potoczyła się w kierunku wydm, pomiędzy którymi ukazała się wąska dróżka. Dzieci weszły więc na nią, cały czas podążając za szklaną kulą. Kręta ścieżka wiła się, omijając kolejne wydmy. Gdy po jakimś czasie Julka poczuła zmęczenie i powiedziała o tym bratu, kula zatrzymała się, jakby zrozumiała słowa Julki. Dzieci odpoczęły chwilę, a potem Julek znowu krzyknął,

że chcą odczarować Smuteczkowo i kula natychmiast potoczyła się dalej. Wędrowali pomiędzy wydymami, nie wiedząc nawet jak długo to już trwa, gdyż krajobraz wokół wyglądał ciągle jednako-
wo. Nagle, kiedy wyszli zza kolejnego zakrętu, ich oczom ukazała się ogromna, skalista góra. Szczyt góry niknął w białej chmurze, zaś u jej stóp widać było wejście do grotty, którego pilnowały dwa ogromne kamienne ptaki. W tym właśnie miejscu szklana kula zatrzymała się i rozsypała w garść piasku. Dzieci zrozumiały, że muszą jakoś dostać się do środka, ale kiedy podeszły bliżej, jeden z ptaków niespodziewanie odwrócił w ich stronę ogromny dziób, który był większy od dorosłego mężczyzny, i odezwał się głębokim, gardłowym głosem.

– Co tu robicie? Zabłądziliście? Nie wiecie jakie to niebezpieczne bawić się przy Górze Utraconych Nadziei?!

– Nie przyszliśmy się tutaj bawić. Szukamy pomocy. Chcemy zdjąć czar z naszego miasta – odpowiedział Julek.

– Trafiliście zatem do właściwego miejsca – powiedział drugi ptak – ale zanim wejdziecie musicie prawidłowo odpowiedzieć na nasze trzy pytania. Tylko wtedy będziecie mogli wspiąć się na szczyt.

– A co się stanie, jeśli nam się nie uda? – zapytała Julka.

– Staniecie się kamiennymi ptakami i zajmiecie nasze miejsce – odpowiedział pierwszy i przekrzywił głowę.

Dzieci zrozumiały, że to kolejna próba, której muszą stawić czoła, i że jeśli im się nie uda, już nigdy nie zobaczą swoich bliskich

a miasteczko na zawsze pozostanie pogrążone w smutku. Skoro jednak dotarli tak daleko, nie było już sensu się wycofać.

– Jesteśmy gotowi. Zadawajcie pytania – powiedział Julek, na co kamienne ptaki wyraźnie się ożywiły. Ten, który odezwał się pierwszy, pochylił w ich kierunku ogromny dziób i zapytał uroczyście:

– Co waży więcej: łza smutku czy łza radości?

Dzieciom to pytanie wydawało się w pierwszej chwili dziwne, bo przecież łza to łza. Przez chwilę się zastanawiały, ale wtedy Julka pomyślała o ich mamie i o tym jak czasami widywała ją płaczącą ukradkiem.

– Więcej waży łza smutku, bo pod jej ciężarem chyli się nawet najsilniejszy z ludzi. – powiedziała. Ptak zamachał skrzydłami, aż wzbił się kurz i wydał z siebie dziwny krzyk.

– Tak, to dobra odpowiedź – zaskrzeczał – Odpowiedzcie zatem na drugie pytanie!

Tym razem w ich stronę pochylił swój dziób drugi z ptaków.

– Jaki jest najlepszy prezent dla matki?

Pytanie znowu wydawało się zaskakujące. Dzieci wiedziały, co by przydało się ich matce, ale czy istnieje coś takiego, czego chciałyby wszystkie mamy? Wtedy przypomniały sobie Smuteczkowo i niefortunne urodziny córki burmistrza, i już znały odpowiedź.

– Najlepszym prezentem dla matki jest radość jej dziecka – odpowiedział Julek a wtedy i drugi ptak zaskrzeczał, a gdzieś w oddali błysnęła błyskawica.

– Ostatnie pytanie brzmi... – ponownie zaskrzeczał pierwszy ptak. – Bez czego nie da się żyć? – uzupełnił drugi.

Julek prawie natychmiast pomyślał o wodzie, jedzeniu i powietrzu i o tym jak bardzo są konieczna do życia. Ale kiedy powiedział o tym Julce, pokręciła z przekonaniem głową.

– Ludzie czasami przeżywają bez wody i jedzenia dłużej niż mogłoby się to wydawać możliwe. A kiedy nurkują, potrafią przez jakiś czas wytrzymać pod wodą bez powietrza.

Kiedy wspomniała o wodzie nagle przypomniała sobie o Rzece Snów i o sennych marzeniach, które w niej błyskały. Pomyślała o swoim utraconym uśmiechu i już знаła odpowiedź na ostatnie pytanie. Odwróciła się w stronę ptaków i cicho wyszeptała:

– Nadzieja. Nie można żyć bez nadziei.

Tym razem coś błysnęło tuż obok tak mocno, że aż zacisnęły oczy, a kiedy po chwili je otworzyły, wejście do groty było puste. Kamienne ptaki zniknęły.

Góra Utraconych Nadziei

Gdy Julek i Julka weszli do groty, zobaczyli wijące się w górę kamienne schody. Zaczęli się więc po nich wpinać. Schody oświetlało dziwne światło, które płynęło nie wiadomo skąd, a ściany po obu stronach lśniły niczym szkło. Wędrówka w górę nie była trudna, choć wydawała się nie mieć końca. Ale było coś jeszcze... Na początku nie wydawało się to istotne, lecz po pewnym czasie dzieci zaczęły mieć poczucie, że opuszczają je siły i że ich wspinaczka po schodach może nie mieć żadnego sensu. Przecież nie wiedziały czy w ogóle będzie można zdjąć zły czar z ich miasta. Julka coraz dotkliwiej czuła brak swojego uśmiechu i coraz mocniej żałowała, że go oddała przewoźnikowi. Przecież jeżeli nawet uda im się cofnąć zaklęcie i wrócić do domu, to ona będzie jak tamta smutna dziewczynka. Nikt nie będzie jej chciał zaprosić na urodziny ani się z nią przyjaźnić. W tym samym czasie Julka również dręczyły niewesołe myśli. Zdał sobie sprawę, że jako chłopak powinien był ochronić siostrę i sam oddać przewoźnikowi swój uśmiech. A teraz będzie już do końca życia żył z wyrzutami sumienia. Za każdym razem kiedy patrzył na Julkę, czuł się coraz bardziej przytłoczony.

– Może chwilę odpoczniemy? – zaproponowała słabym głosem Julka.

– Możemy – powiedział Julek, usiadł na jednym ze schodków i pogрузił się w czarne myśli.

Julka usiadła obok i też milczała. Siedzieli i siedzieli, i coraz bardziej cała ta wyprawa wydawała im się bez sensu. Nie chciało im się ani jeść, ani pić, ani iść dalej, ani wracać. Mieli ochotę zwinąć się w kłębek, spać i już nic nie musieć robić. Kamienne schody wydały im się nagle bardzo wygodne. Już mieli pograć się w drzemce, kiedy nagle coś zamigotało w dziwnym świetle. Na początku dzieci nie mogły zrozumieć co to takiego. A był to... motyl! Jeden z tych kolorowych motyli, które widziały na Tęczowej Polanie. Być może był to nawet ten sam motyl, od którego rozpoczęła się ich wyprawa! Wtedy znowu przypomniały sobie o Smuteczkowie, o swoich rodzicach, o pięknej Lei i zaczęła im wracać energia.

– Góra Utraconych Nadziei! – krzyknął Julek. – To wszystko przez tę górę. Ona wysysa z nas nadzieję. Dalej Julka! Nie możemy się poddać! Dopóki mamy nadzieję, mamy szansę!

Julka natychmiast zrozumiała. Poderwała się ze schodów, chwyciła Julka za rękę i znów zaczęli się wspinać. Motyl gdzieś znikł, ale oni odzyskali energię i siły. Z każdym pokonanym stopniem czuli się coraz lepiej. Aż w końcu, za kolejnym zakrętem ich oczom ukazały się drzwi. Prawie przebiegli ostatnich kilka schodów a kiedy do nich dotarli, oboje zapukali. Drzwi mimo, że były masywne, skrzypnęły i otworzyły się same. Zobaczyli gładką posadzkę i stojący opodal niewielki cokół, na którym leżała srebrna taca z wieloma buteleczkami różnego kształtu i koloru. Obok znajdowało się dziwne, szklane łoże, na którym ktoś leżał.

Dzieci powoli przeszły przez drzwi i natychmiast poczuły na twarzach wiatr. Zdały sobie sprawę, że są na szczycie góry. Ostrożnie zbliżyły się do łóżka na którym przykryta pierzyną, z głową na wielkiej poduszce, spała starsza kobieta. Jej twarz rozjaśniał delikatny uśmiech, najwyraźniej śniła się jej coś miłego. Dzieci podeszły jeszcze bliżej a wtedy kobieta nagle otworzyła oczy, przeciągnęła się i powoli usiadła.

– A więc jesteście – powiedziała miłym głosem, uśmiechając się promiennie – tak długo na was czekałam. Jak macie na imię?

– Jestem Julka, a to mój brat Julek – wykrztusiła zaskoczona dziewczynka. – Pani na nas czekała?

– Tak. Jesteście dziećmi ze Smuteczkowa, czyż nie? – uśmiechnęła się ponownie kobieta. – Śniłam o was. Widziałam waszą drogę i wasze poświęcenie. O przepraszam! Powinnam się przedstawić. Mam na imię Leana i jestem mamą dziewczynki, która nie mogła się uśmiechać. To moja klątwa zmieniła miasteczko w Smuteczkovo. Sama nie wiem dlaczego tak się stało, ale ta sama magia uśpiła mnie, abym, nie cierpiała więcej i od tamte pory spałam tutaj, czekając na was. Poznaliście już moją córkę, opiekuje się kolorami na Tęczowej Polanie. A mój mąż został zamieniony w przewoźnika Rzeki Snów. Wiem, że oddałaś mu swój uśmiech – zwróciła się do Julki – po to by pomóc innym. Piękny uczynek. Pora abyś go odzyskała. I pora żeby wszystko wróciło do swojej prawdziwej postaci.

To powiedziawszy Leana wstała z łóżka i podeszła do cokołu. Ku zaskoczeniu dzieci jednym szybkim ruchem strąciła z niego

srebrną tacę, lecz kolorowe buteleczki zamiast spaść na podłogę, zawisły na chwile w powietrzu. Potem, jedna po drugiej, zaczęły pęcznieć i pękać jak bańki mydlane, a gdy pękały, zawarty w nich kolor wypływał w formie obłoku i zaczynał wirować wokół całej trójki. Kolorów było coraz więcej i więcej, bo mieszały się ze sobą, tworząc coraz to nowe barwy. Dzieciom zaczęło się kręcić w głowie od tego wirowania, a po chwili poczuły potężny podmuch wiatru, który porwał je w sam środek burzy kolorów. I oto, nie wiadomo w jaki sposób, Julek i Julka znaleźli się nagle na rynku Smuteczkowa, tuż przed fontanną z ponurym krokodylem. Burza kolorów, która ich tu przyniosła, zataczała coraz szersze kręgi i dzieci zobaczyły, że miasteczko zaczyna się zmieniać. Szare budynki nie były już szare, wokół pojawili się ludzie w kolorowych ubraniach, słychać było wesołe krzyki i śmiechy. Potem rozległ się głośny huk i smutna fontanna z krokodylem zniknęła w deszczu kolorowego confetti, a na jej miejscu stała dziewczynka w odświętnej sukience. Podbiegła do nich i mocno oboje uściskała, szepcząc radośnie „dziękuję”. A wtedy Julka poczuła, że znowu może się uśmiechać.

Długo by opowiadać o niezwykłej radości, jaka zapanowała w miasteczku. O tym, jak dumni byli rodzice Julki i Julka i z jaką miłością uśmiechali się do swoich pociech. O tym jak burmistrz wyprawił wielką zabawę na ich cześć, podczas której na honorowych miejscach zasiedli również Leana, jej mąż i córka, która w cudowny sposób odzyskała swój uśmiech a wokół niej fruwały przepiękne motyle. O kolorowych tortach, lodach, muzyce i tańcach... Dość powiedzieć, że w miasteczku nie było ani śladu

smutku. A mieszkańcy uroczyście zmienili jego nazwę, na Uśmiechowo.

Kiedy się uśmiechamy możemy wywołać uśmiech innych.
Najlepszym prezentem dla twoich rodziców jest Twój uśmiech.
Nadzieja pomaga poradzić sobie w trudnych chwilach.
Narzekanie nigdy nie zmienia świata na lepszy, uśmiech zawsze.

Zadanie:

**Spróbuj jutro uśmiechnąć się do pięciu osób.
Zobacz, jak się czujesz
Sprawdź, czy wokół ciebie jest ktoś smutny. Jeśli tak,
delikatnie zapytaj tę osobę dlaczego jest smutna,
porozmawiaj z nią, powiedz jej coś miłego.**

Nauka samokontroli



Profilaktyka uzależnień od alkoholu i narkotyków.

Tekst do samodzielnej lektury przez dzieci, które już opanowały naukę czytania lub do wysłuchania.

Test zelków

Był ładny wiosenny dzień. Na drzewach coraz śmielej pojawiały się młode listki, trawnik nabierał koloru soczystej zieleni. Niebo czyste – żadnej posepnej chmury, cała przestrzeń tylko dla żółtej kuli słońca, której promienie opierały się o okna w świetlicy i wypełniały ciepłym światłem każdy jej zakątek.

Właśnie minęła szesnasta. Już po lekcjach i obiedzie. Po odrobieniu pracy domowej i zabawie na szkolnym boisku. Teraz pora relaksu i zajęć w świetlicy. Na rodziców czeka jeszcze czworo dzieci: Tomek, Basia, Lena i Kuba. Siedzą razem przy jednym stoliku. Basia czyta „Baśniobór”. Jest pochłonięta przez lekturę. Lena robi z kolorowych gumek bransoletkę. Kuba przekłada flamastry z plastikowego opakowania do piórnika.

Tomek kiwa się na krześle i ziewa.

– Zagramy w szachy? – pyta Kuba.

- E, tam. Nuda. Chodź na piłkarzyki – mówi Tomek.
 - Piłkarzyki są na drugim piętrze, na korytarzu, a my mamy być w sali. Pani tak powiedziała.
 - No to co? Pani się boisz?
 - Nie boję. Tylko nie chcę, i już.
 - Boisz się, boisz się, jak baba.
- Kuba nic nie odpowiada. Odzywa się za to Lena:
- Daj mu spokój. Chcesz, to idź sam.
 - No i pójdę, żebyś wiedziała. Zaraz pójdę.
 - A dokąd pójdziesz? – do sali wraca pani świetliczanka. W rękę oprócz dziennika trzyma papierową torebkę.
 - No, do... – Tomek zaczyna, ale nie kończy zdania.
- Pani patrzy pytająco.
- W piłkarzyki chciał grać – wyjaśnia Lena.
 - Lizuska – syczy Tomek.
 - No przecież chciałeś. Pani zapytała, a ja tylko odpowiadam.
 - Ja wolałem szachy – mówi Tomek.
- Basia milczy.
- Dobrze, że nie poszedłeś. Umówiliśmy się przecież, że nie można samemu wychodzić z sali. Tu jest naprawdę sporo fajnych zabawek. Macie inne gry planszowe, klocki, poduchy do leżenia, książki...
 - Ja lubię książki – odzywa się wreszcie Basia.
 - No właśnie. Na pewno coś byś dla siebie znalazł. Więc dobrze, że nie poszedłeś, zwłaszcza że ominęłaby cię niespodzianka.
- Pani odkłada dziennik na biurko i podchodzi do stolika, wciąż

- trzymając w ręku papierową torbę.
- To coś dla nas? – pyta Lena.
 - Mogę zobaczyć? – Tomek podrywa się z krzesła.
 - To jakaś nagroda? – chce wiedzieć Kuba.
- Basia zamyka książkę. Też jest ciekawa niespodzianki.
- Pani przysuwa do stołu wolne krzesło i siada. Kładzie na blat torbę.
- Tak, to niespodzianka. I konkurs. I nawet będą nagrody.
- Wkłada rękę do środka, papier szeleści. I coś jeszcze, chyba jakieś plastikowe opakowania.
- Dzieci patrzą w napięciu.
- No, co tam jest? – Tomek nie może wytrzymać.
 - Nie pchaj się na mnie. – Lena się odsuwa.
- Kuba lekko unosi się na krześle. Też jest ciekaw.
- Basia patrzy w napięciu. To pewnie coś miłego. Chciałaby już wiedzieć co, ale głupio jej zapytać.
- No i proszę! – Pani z miną magika wyciąga z torby cztery kolorowe paczuszki. – Żelki. Colowe.
 - Są ekstra! Mogę? – Tomek pierwszy wyciąga rękę.
 - Fajnie, lubię je – Lena też się cieszy. – A z jakiej to okazji?
- Kuba najbardziej ze słodczy lubi wafelki w czekoladzie, ale żelki też są dobre.
- Basi aż trudno uwierzyć w to nieoczekiwane szczęście. Uwielbia słodczy, ale mama rzadko je kupuje, bo mówi, że od tego psują się zęby i człowiek tyje. To dlatego Basia dostaje do szkoły grahamki, których nie lubi, i marchewkę, która niby jest słodka, ale to przecież nie to samo co batonik.

Tomek kiwa się na krzesło i ziewa.

– Zagramy w szachy? – pyta Kuba.

– E, tam. Nuda. Chodź na piłkarzyki – mówi Tomek.

– Piłkarzyki są na drugim piętrze, na korytarzu, a my mamy być w sali. Pani tak powiedziała.

– No to co? Pani się boisz?

– Nie boję. Tylko nie chcę, i już.

– Boisz się, boisz się, jak baba.

Kuba nic nie odpowiada. Odzywa się za to Lena:

– Daj mu spokój. Chcesz, to idź sam.

– No i pójdę, żebyś wiedziała. Zaraz pójdę.

– A dokąd pójdziesz? – do sali wraca pani świetliczanka. W rękę oprócz dziennika trzyma papierową torebkę.

– No, do... – Tomek zaczyna, ale nie kończy zdania.

Pani patrzy pytająco.

– W piłkarzyki chciał grać – wyjaśnia Lena.

– Lizuska – syczy Tomek.

– No przecież chciałeś. Pani zapytała, a ja tylko odpowiadam.

– Ja wolałem szachy – mówi Tomek.

Basia milczy.

– Dobrze, że nie poszedłeś. Umówiliśmy się przecież, że nie można samemu wychodzić z sali. Tu jest naprawdę sporo fajnych zabawek. Macie inne gry planszowe, klocki, poduchy do leżenia, książki...

– Ja lubię książki – odzywa się wreszcie Basia.

– No właśnie. Na pewno coś byś dla siebie znalazł. Więc dobrze, że nie poszedłeś, zwłaszcza że ominęłaby cię niespodzianka.

Pani odkłada dziennik na biurko i podchodzi do stolika, wciąż trzymając w ręku papierową torbę.

– To coś dla nas? – pyta Lena.

– Mogę zobaczyć? – Tomek podrywa się z krzesła.

– To jakaś nagroda? – chce wiedzieć Kuba.

Basia zamyka książkę. Też jest ciekawa niespodzianki.

Pani przysuwa do stołu wolne krzesło i siada. Kładzie na blat torbę.

– Tak, to niespodzianka. I konkurs. I nawet będą nagrody.

Wkłada rękę do środka, papier szeleści. I coś jeszcze, chyba jakieś plastikowe opakowania.

Dzieci patrzą w napięciu.

– No, co tam jest? – Tomek nie może wytrzymać.

– Nie pchaj się na mnie. – Lena się odsuwa.

Kuba lekko unosi się na krzesło. Też jest ciekaw.

Basia patrzy w napięciu. To pewnie coś miłego. Chciałaby już wiedzieć co, ale głupio jej zapytać.

– No i proszę! – Pani z miną magika wyciąga z torby cztery kolorowe paczuszki. – Żelki. Colowe.

– Są ekstra! Mogę? – Tomek pierwszy wyciąga rękę.

– Fajnie, lubię je – Lena też się cieszy. – A z jakiej to okazji?

Kuba najbardziej ze słodczy lubi wafelki w czekoladzie, ale żelki też są dobre.

Basi aż trudno uwierzyć w to nieoczekiwane szczęście. Uwielbia słodczy, ale mama rzadko je kupuje, bo mówi, że od tego psują się zęby i człowiek tyje. To dlatego Basia dostaje do szkoły gra

– Bez okazji. Tak po prostu, żeby wam było miło. – Pani się uśmiecha.

– A konkurs? Mówiła pani jeszcze o konkursie? – Kuba lubi wszystko wiedzieć.

– Tak, będzie i konkurs. Na pewno jeszcze nie braliście w takim udziału.

– Super! – Tomek już nie ma ochoty na piłkarzyki, cieszy się, że jednak został. Może wreszcie coś fajnego na tej nudnej świetlicy się wydarzy.

Lena jest ciekawa. Lubi konkursy. Kuba też.

Basia się denerwuje. A jak przegra? I wcale nie dostanie tych żelków?

– No dobrze. To już mówię, o co chodzi.

Pani kładzie przed każdym dzieckiem minipaczkę żelków, w której są po cztery galaretki w kształcie butelek coli.

– To prezent dla was. Po jednej paczce dla każdego.

Tomek podnosi torebkę.

– Nie, poczekaj chwilę. Jeszcze nie skończyłam.

Tomek niechętnie odkłada żelki na stół.

Basia, ucieszona informacją, że każdy na pewno zje te żelki, znowu zaczyna się bać, że może jednak nie.

– To dla was. Nikt ich wam nie zabierze. A teraz konkurs. Jest prosty. Musicie się zdecydować

– czy chcecie zjeść te żelki teraz, czy wolicie poczekać.

– A na co? – chce wiedzieć Tomek.

– A na niespodziankę – uśmiecha się pani.

– Ale fajnie! – Lenie podoba się ta zabawa.

– Ale do kiedy poczekać? – Kuba chce wiedzieć dokładnie.

Basia słucha w napięciu.

– Poczekać na niespodziankę. A niespodzianka, jak wiadomo, jest niespodziewana. To coś fajnego, ale nie wiadomo co. Trzeba poczekać, żeby się dowiedzieć. Zasady są takie: możecie zjeść żelki od razu, ale wtedy niespodzianki nie będzie. Możecie je zostawić na stoliku i poczekać piętnaście minut. Teraz mamy piętnaście po czwartej – pani patrzy na zegar na ścianie – czyli do wpół do piątej. I wtedy ten, kto nie zje żelków, dostanie niespodziankę.

Dzieci spoglądają to na siebie, to na panią. Rzeczywiście, takiego konkursu nie znały.

– Wystarczy nie zjeść, żeby dostać tę niespodziankę? – chce wiedzieć Lena.

– Tak – potwierdza pani.

– I wtedy będzie się miało i tę niespodziankę, i te żelki? – dopytuje Kuba.

– Owszem. Jedno i drugie – pani potakująco kiwa głową.

– No dobrze, to zrobimy tak: idę do sali naprzeciwko, będę tak układać książki na regale. I jedne, i drugie drzwi zostawiam otwarte, więc będę mieć was na oku, gdy któreś chciało prysnąć – pani znacząco patrzy na Tomka. – Wy zostajecie w sali i decydujecie. Za kwadrans wracam. Miłej zabawy!

Pani przechodzi przez korytarz i po chwili słychać już tylko szuranie książek na półkach.

– Ale czad! – pierwszy odzywa się Tomek. – Żelki są super! I to

jeszcze colowe. To jak coca-cola i cukierek w jednym. – Podnosi paczuszkę i zaczyna odrywać plastikowy koniec torebki.

– Stój! – krzyczy Lena. – Nie jesteś ciekawy, jaka będzie nagroda? Tomek na chwilę przerywa odrywanie folii. Żelki zachęcająco sprężynują pod palcami. Już czuje ich niezapomniany zapach, mocno słodki, trochę jakby kwaskowaty. I to fajne ciągniecie się. – Jestem.

Basia też jest ciekawa, ale boi się, że od razu je zje. Dlatego wciąż nie wzięła swojej paczki do ręki. Choć palce już ją swędzą z niecierpliwości.

Kuba również miałby ochotę na coś słodkiego, bo dzisiaj nie dostał do szkoły żadnej słodyczy. Nawet zamiast soczku mama spakowała mu wodę mineralną.

Lena też lubi słodkie – no bo które dziecko nie lubi? Ale ten konkurs jest fajny. Pani przecież powiedziała, że będzie nagroda. Nie trzeba się jakoś nie wiadomo jak starać. I żadnej niepewności – wystarczy nie zjeść i wpadnie niespodzianka. W sumie proste zadanie.

Dzieci patrzą na siebie w napięciu.

– Jestem – powtarza Tomek. – Ale nie aż tak, żeby czekać. Może to nic fajnego? Na przykład coś dziewczynskiego. Albo jabłko. Albo jakaś książka.

– Książki są fajne – nieśmiało mówi Basia.

Chciałaby dostać książkę, ale i bardzo by chciała już zjeść batonik.

– Wszystkie niespodzianki są fajne – kiwa głową Lena.

Kuba patrzy na zegar. Minęły dopiero dwie minuty. Dziwne, czas nagle jakby zaczął płynąć wolniej.

– E tam. Fajne jest to, co jest teraz. A teraz zjem te żelki – Tomek gwałtownym ruchem odrywa róg folii i wyciąga pierwszą colową butelkę.

Natychmiast rozchodzi się nęcący żelkowy zapach. Taki, któremu nikt nie potrafi się oprzeć. To znaczy jakiś dorosły może tak, ale nie dziecko. Dzieci uwielbiają przecież żelki. Każde urodziny są super, bo na każdych w którejś misce na stole są żelki. Czipсы, paluszki i pepsi też są super, ale to żelki znikają w pierwszej kolejności.

Basia głośno przełyka ślinę. Wydaje się jej, że czuje smak żelka na języku. Lena też czuje ten smak. Delikatnie dotyka kolorowej torebki, lekko naciskając jednego żelka palcem. Śmieszne uczucie. Jeszcze nie wie, co robi. Tomek to jest raptus, przypuszczała, że tak z nim będzie.

Kuba chyba jest głodny. Ma dziś wyjątkowy apetyt. Żelek to cukier, a cukier – wiadomo – zabija głód. Z drugiej jednak strony niedługo przyjedzie po niego mama i pewnie pójdą na zakupy, to poprosi ją o bułkę.

Basia pociera pod stolikiem dłonią o dłoń. Zaczyna się denerwować. Lubi nagrody. Rzadko je dostaje, bo wstydzi się występować w konkursach. Nie jest taka sprawna jak inne dzieci, więc boi się, że przegra. Albo że coś strasznego się wydarzy, na przykład się potknie i upadnie, i dzieci będą się z niej śmiały. Dlatego bardzo rzadko bierze udział w zawodach. Woli patrzeć, choć jest jej przy-

kro.

– Pycha! – Tomek odchyła się lekko na krześle. Przymyka oczy i masuje się po brzuchu, udając błogość.

– Przestań! – śmieje się Lena. – My tu próbujemy wytrzymać.

– No to próbujcie – Tomek teatralnym gestem wyciąga kolejnego żelka z torebki i powoli przenosi go znad stolika do buzi. – Raj! Jestem w raju!

Lena parska śmiechem.

Kuba też się uśmiecha. Tomka zawsze trzymają się żarty. To taki klasowy rozśmieszacz. No, poza chwilami, kiedy jego żarty nie dla wszystkich są zabawne, a wtedy Tomek się złości.

Basia czuje ściskanie w żołądku. Co robić?

– Dręczysz nas. – Lena wciąż z uśmiechem patrzy na Tomka.

Prawie już zdecydowała, że jednak poczeka z otwieraniem paczki. Ostentacyjne zachowanie Tomka ją bawi, ale i troszkę rozprasza. I przeszkadza. Byłoby najłatwiej, gdyby wszyscy się powstrzymali. Albo w ogóle odłożyli torebki gdzieś na bok, na przykład na parapet, i usiedli pod ścianą. Albo na przykład poszli pomagać pani w układaniu tych książek. No ale mają zostać w sali, pani przecież wyraźnie to powiedziała. A, to pewnie takie dodatkowe utrudnienie! Zwykle pani prosi o pomoc i mówi, że razem wszystko łatwiej i szybciej zrobić. A tym razem zostawiła ich przy stoliku, żeby patrzyli na swoje skarby. Bo jak coś tak blisko leży, że tylko ręką sięgnąć, to nęci dużo bardziej. Ech...

– No i ostatni żelek ląduje w buzi – Tomek robi „chaps” i zaczyna

mlaskać. – Cudowne, cudowne!

Kuba myśli, że czasami lubi Tomka. Jak się tak fajnie wygłupia. Szkoda, że bywa i zupełnie inny. Jak w zeszłym tygodniu na wuefie, kiedy Kuba nie podał do niego piłki. Nie podał, bo po prostu nie zauważył, że Tomek na nią czeka. A on się zezłościł i go popchnął. Aż pan go posadził na ławkę na pięć minut.

Basia czuje, że już dłużej nie wytrzyma. To czekanie jest nieznośne. To niejedzenie jest nieznośne. Co by tu zrobić?

Tomek osuwa się na krzeselku.

– Cudowne uczucie – przymyka oczy, choć tak nie do końca, bo spod przymkniętych powiek obserwuje pozostałą trójkę.

Kuba, Lena i Basia milczą.

Pierwszy ciszę przerywa Kuba.

– Na pewno. Tylko właśnie się kończy.

Patrzy na zegarek. Do wpół do piątek brakuje jeszcze siedmiu minut.

– E, jeszcze nie – Tomek wysuwa na czubku języka kawałek zżutego żelka.

– Fuj! Obrzydliwy jesteś – piszczy Lena.

– No! – cieszy się Tomek.

Basia bardziej o tym, czy Tomek jest obrzydliwy, myśli, jakby to było mieć takiego żelka w buzi. Choćby już częściowo zjedzonego i wyssanego. Dobrze by było. Lubi zapach słodczy w ustach i rozchodzącą się po ciele słodycz. Człowiekowi od razu robi się od

niej lepiej. Mama tak rzadko jej na to pozwala.

Zegar pokazuje szesnastą dwadzieścia pięć.

Kuba też patrzy na zegar. Niecałe pięć minut do końca tej próby, myśli. Dobrze mi poszło. To wcale nie jest takie trudne, jak się chce. Już zdecydował, że poczeka ze zjedzeniem żelków. Może nawet trochę dłużej? Najpierw ta kajzerka w sklepie, a potem słodczyce, tak jakby na deser. Nie będzie już głodny, to nie zje od razu wszystkich. Tak, właśnie tak robi.

Lena jakby czytała mu w myślach. Też już się zdecydowała. Najgorsze za nią. Zaraz pani wróci i okaże się, co to za niespodzianka. Oby była warta czekania. Chociaż nawet jak nie będzie taka super, to przynajmniej Lena będzie wiedziała, że potrafi czekać. Też fajnie.

– No dobra, dobra, Tomek. Koniec z tym męczeniem nas. Wyrzucić przynajmniej tę torebkę do kosza – uśmiecha się do kolegi.

Basia patrzy w napięciu. Czuje, że dłużej tego nie wytrzyma.

Tomek przez moment się waha. A, co tam, wyrzuci.

Wstaje, bierze do ręki foliowe opakowanie. Zbyt zamaszycie – niechcący strąca pudełko z gumkami loomsami Leny.

– Sorka – patrzy niepewnie.

Lena się nie denerwuje, widziała, że to przypadkiem. No i właściwie mogła zamknąć pudełko.

– Pomogę ci – mówi Kuba.

Razem kucają przy stole, na wykładzinie. Zaczynają zbierać kolorowe kółeczka.

Tomek idzie w kąt sali, do kosza. Opakowanie ląduje w śmie-

ciach.

– Chyba już – Lena podnosi się z podłogi. – Dzięki – rzuca do Kuby.

– Nie ma sprawy.

Kiedy oboje podnoszą się z podłogi, zauważają, że Basia ma zaczerwienione oczy, jakby płakała.

– Co się stało? – pyta Lena.

Basia milczy, pociągając nosem.

Tomek wraca od drzwi.

– Pani już idzie.

Cztery głowy spoglądają na zegar.

Jest wpół do piątej.

Pani pojawia się w drzwiach. W ręku ma taką samą papierową torebkę. Ale chyba jest w niej coś większego.

– Jak wam poszło? – pyta.

– Ja zeżarłem – śmieje się Tomek.

– Zjadłem, mówi się zjadłem – poprawia go pani.

– Ja poczekałem – odpowiada Kuba.

Lena zauważyła jeszcze jedną gumkę na ziemi. Schyla się po nią.

– Ja też zaczekałam – odpowiada spod stołu.

– A ty, Basiu? A, widzę, że też – pani dostrzega w jej ręku paczuszkę. – A coś się stało? Płakałaś?

Basia potakuje głową. Nie odzywa się.

Zapada cisza. Po chwili słychać cichutki głos Basi:

– Bo się bałam, że nie wytrzymam. A chciałabym dostać tę niespodziankę.

Pani głaszcze ją po głowie i mówi:

– No dobrze. To kto wytrzymał, ten ma nagrodę.

Wkłada rękę do torby i wyjmuje żelki. Znowu żelki, ale tym razem duże opakowanie.

– Kurde! – wyrywa się Tomkowi.

– Fajnie – cieszy się Kuba.

– Fajnie – wtóruje mu Lena.

Basia mocniej ściska w rękę swoją paczuszkę. Też się cieszy. Bardzo.

– Zatem paczka dla Leny, Basi i Kuby. Tomek niestety niczego nie wygrał. Sorry, Winnetou – pani uśmiecha. – A wiecie, skąd pomysł na taki konkurs? Kiedyś przeprowadzono taki eksperyment w przedszkolu. Dzieci dostały po jednej piance marshmallow. Opiekunka powiedziała im, że jeśli chwilę poczekają ze zjedzeniem jej, to dostaną drugą. I na parę minut zostawiła je w pokoju. Potem wróciła i było jak u was – jedne pianki zniknęły, inne czekały na stolikach. Ale ciekawsze było to, co działo się potem. Bo potem, po wielu latach, sprawdzano, jak te dzieci radziły sobie w życiu. I wiecie, co się okazało? Że te, które potrafiły się powstrzymać przed zjedzeniem słodkiej pianki, lepiej się uczyły, były bardziej obowiązkowe, miały więcej przyjaciół. A to wszystko dlatego, że potrafiły odsunąć przyjemność w czasie. Nie wszystko musiały dostać od razu. Słowem – opłaca się czasem na coś poczekać. To co, Tomek, jutro powtórka?

Pytania do dzieci:

Czy brałyście kiedyś udział w podobnej zabawie?

Jeśli tak, to jak wam poszło?

Jeśli nie, to czy chciałybyście spróbować?

Jak myślicie, czy udałoby się wam powstrzymać

i nie zjeść słodkości od razu?

Jak sobie radzicie, kiedy bardzo czegoś byście chcieli: dostać lizaka, zabawkę, pograć na telefonie, obejrzeć telewizję, a rodzice wam tego odmawiają, mówiąc:

„Później”?

Czy myślicie, że dorośli od razu spełniają swoje zachcianki?

Którego z bohaterów opowiadania najbardziej polubiliście i dlaczego?

Do którego jesteście najbardziej podobni

Informacja dla rodziców:

W latach sześćdziesiątych psycholog Walter Mischell przeprowadził w przedszkolu następujące doświadczenie: grupie dzieci rozdał słodkie pianki. Poinformował je, że mogą co prawda zjeść je od razu, ale jeśli odmówią sobie natychmiastowej przyjemności, zostaną nagrodzone dwiema kolejnymi piangkami za kilkanaście minut. Po czym opuścił pokój.

Większość dzieci zjadła słodycze od razu, inne walczyły z pokusą, ale i tak jej uległy, niektóre jednak potrafiły się wstrzymać z jedzeniem.

Dalsza obserwacja dzieci z tej grupy była na tyle interesująca, że Mischell postanowił zbadać tego typu zachowania dogłębniej.

Przez ponad trzydzieści lat badano grupę tysiąca osób, które poddano w dzieciństwie takiemu testowi.

Wyniki pokazały, że te dzieci, które wstrzymały się ze zjedzeniem słodyczy i zostały za to nagrodzone, w dorosłym życiu były wytrwalsze w dążeniu do celu, lepiej

radziły sobie z różnymi problemami interpersonalnymi i – co istotne ze względu na omawiany przez nas temat – były mniej impulsywne i rzadziej sięgały po używki.

W badaniu mózgu rezonansem elektromagnetycznym wykazano intensywniejsze działanie u tych osób struktur odpowiadających za motywację i samokontrolę.

Uzależnienia są silnie związane z potrzebą natychmiastowej gratyfikacji, podjęcia działań, które przyniosą – bez odraczania – przyjemność.

Warto przeprowadzić tego typu doświadczenie ze swoim dzieckiem. Bez względu na wynik warto także ćwiczyć umiejętność odraczania przyjemności. Na przykład: „Możesz teraz pójść obejrzeć telewizję, ale tylko przez pół godziny. Jeśli znajdziesz sobie inne zajęcie i włączymy telewizor za godzinę, będziesz mógł/mogła obejrzeć cały półtoragodzinny film”. Albo: „W porządku, kupię ci teraz lody. Gdybyś jednak się wstrzymał/wstrzymała z ich zjedzeniem, to wieczorem dostaniesz dwie kulki zamiast jednej”. „Dobrze, możemy kupić to małe opakowanie klocków Lego, jeśli bardzo chcesz. Ale gdybyś poczekał/poczekala, to w weekend pojedziemy do sklepu po duże klocki. Co wybierasz?”